POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Nr 83 (2594)
Cena **7,00 zł**
(w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682

Piątek–niedziela, 16–18.10.2026

www.i.pl

MAGAZYN

Jak przywrócić poczucie bezpieczeństwa w szkołach

– Str. 12-14

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy

BT

9 771898 308059 42

MAGAZYN
Prof. Pietrzyk-Zieniewicz: Coraz więcej osób zadaje sobie pytanie, kto właściwie rządzi w kraju – **Str. 8**

MAGAZYN
Prof. Carl Frey: AI to szansa na ożywienie gospodarki. Ale nie ma gwarancji, że tak się stanie – **Str. 16**

TELEMAGAZYN
● Program TV oraz omówienie najciekawszych filmów i seriali

REKLAMA 0011584361

35 LAT HISTORII
JEDNEJ Z NAJSTARSZYCH NIEPUBLICZNYCH UCZELNI W POLSCE

1991 Sądecko-Podhalańska Szkoła Biznesu
1992 WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY
2026 Akademia WSB-NLU

eprasa.pl c2b087826f

Na okładce

BT

Dr Aleksandra Piotrowska: Szkoła nie da stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa. Musi jednak dać pewność, że krzywdzenie innych będzie miało konsekwencje

s.5

Dlaczego Donald Trump grozi Ukrainie i Wołodymyrowi Zełenskiemu?

s.6–7

Decydujące starcie w walce o Trybunał Konstytucyjny. Czy Maciej Berek będzie tym, który uzdrowi TK?

s.8

Prof. Pietrzyk-Zieniewicz: Coraz więcej osób zadaje sobie pytanie, kto właściwie rządzi w kraju. Inni, którzy lepiej orientują się w tym, w jakim systemie żyjemy – tych musi drażnić to, że pan prezydent, widzi się w roli króla, nie daj Boże cesarza

s.16

Prof. Frey: Sztuczna inteligencja to szansa na ożywienie gospodarki. Ale nie ma gwarancji, że tak się stanie

s.20

Najpiękniejsze zamki i pałace Polski. Jak wyglądają remonty i rewitalizacje

WARSZAWA STR. 30
SPORT STR. 31

Maciej Berek
Prawnik, urzędnik państwowy, doktor nauk prawnych. Wybrany we wrześniu 2026 roku sędzia Trybunału Konstytucyjnego.

Carl Benedikt Frey
Ekonomista Uniwersytetu Oksfordzkiego. Autor wielu książek dotyczących sztucznej inteligencji.

FOT. PAP/MARCIN OBARA, MATERIAŁY PRASOWE

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Tajemnice śledztwa ws. Papały

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©® - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

16.10.2026. Dzień dobry

Maski opadły

To był dla mnie tydzień opadających masek w polityce. Po pierwsze chodzi mi o Donalda Trumpa, który ogłosił, że dogadał się z rosyjskim, krwawym dyktatorem w sprawie dostaw rosyjskiego diesla, łagodząc przy okazji sankcje nałożone na Rosję. Wszystko po to, żeby obniżyć ceny paliw w USA, przed listopadowymi wyborami połówkowymi do Kongresu.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę co Putin zrobi z zarobionymi w ten sposób pieniędzmi - wyda je na kolejne rakiety i drony spadające na ukraińskie miasta i na propagandę. Na to pieniędzy nie żałuje i bardzo potrzebuje. Co więcej, administracja Trumpa zagroziła Ukrainie ograniczeniem dostępu do amerykańskich informacji wywiadowczych i dostaw uzbrojenia, jeśli Ukraińcy nie zaprzestaną ataków na rosyjskie rafinerie. A przecież właśnie te ataki są jednym z najskuteczniejszych sposobów osłabiania rosyjskiej machiny wojennej.

Według Trumpa Rosja może jednak bombardować ukraińskie elektrownie, rafinerie i miasta, ale Ukraina ma przestać niszczyć rosyjską infrastrukturę naftową, bo przeszkadza to Trumpowi w obniżaniu cen paliw w USA. Trudno o bardziej wymowny przykład politycznej hipokryzji, bo też zdajemy sobie sprawę, że to nie Ukraina swoimi atakami na rosyjskie rafinerie doprowadziła do wzrostu cen paliw na rynkach światowych, ale właśnie Trump wywołując wojnę z Iranem i doprowadzając do blokady Cieśniny Ormuz. Tak oto wielka geopolityka sprowadzona została do dystrybutora na stacji benzynowej.

Druga opadająca maska to Grzegorz Braun, który pokazał swoje uwielbienie dla Kremla. 7 października, dokładnie w dniu urodzin Putina, Braun pojawił się w niemieckim Lubminie na wspólnej konferencji z politykami skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec. W miejscu, gdzie kończą się gazociągi Nord Stream, polski europoseł i niemieccy politycy przekonywali do wznowienia importu rosyjskiego gazu. „Uwielbiam zapach rosyjskiego gazu o poranku" - wypalił Braun, zaśmiewając się ze swoimi niemieckimi kolegami.

Oto polski polityk, który nieustannie odmienia przez wszystkie przypadki słowa „patriotyzm" i „suwerenność" staje ramię w ramię z przedstawicielami niemieckiej skrajnej prawicy i domaga się reaktywacji projektu, który przez lata był jednym z najważniejszych narzędzi uzależniania Europy od Rosji. Był symbolem niemiecko-rosyjskiego porozumienia, ponad głowami państw naszego regionu, który porównywano do zbrodniczego paktu Ribbentrop-Mołotow.

A teraz Braun chce ten projekt wskrzesić, w dodatku w towarzystwie polityków AfD, partii znanej z prorosyjskich sympatii, która kwestionuje polskie zachodnie granice! Maska opadła, ten człowiek to zdrajca polskich interesów.

Trzecia maska, to spektakl, który rozgrywa się od środy pod Trybunałem Konstytucyjnym w Warszawie. Jarosław Kaczyński i politycy PiS pojawili się tam, by bronić instytucji, którą przez osiem lat swoich rządów podporządkowywali własnemu obozowi politycznemu. Do której wprowadzili czynnych polityków jak Piotrowicza, Pawłowicz czy Święczkowskiego. Partia, która uczyniła z Trybunału Konstytucyjnego narzędzie własnej polityki, dziś występuje w roli jego gorliwszego obrońcy. W środę nie oglądaliśmy więc obrony konstytucji, ale obronę politycznych wpływów. Dokładnie to samo robili politycy PiS trzy lata temu, okupując budynki TVP - nie bronili niezależności mediów, tylko swoje w nich wpływy.

Kiedy maski opadają, okazuje się, że pod spodem nie ma żadnej wielkiej idei. Jest tylko cynizm, żądza władzy, interesów i pieniędzy.

MACIEJ SANDECKI
publicysta

ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl c2b087826f

MATERIAŁ INFORMACYJNY OK OPERATOR KAUCYJNY 0011587709

„System działa, ale to dopiero pierwszy etap". Rok systemu kaucyjnego w Polsce

O pierwszym roku funkcjonowania systemu kaucyjnego w Polsce, jego dotychczasowych efektach, największych wyzwaniach oraz zmianach, które są niezbędne do usprawnienia jego działania, rozmawiamy z Tomaszem Suligowskim, prezesem OK Operator Kaucyjny.

Minął już rok od wprowadzenia systemu kaucyjnego w Polsce. Po co nam system kaucyjny?

Podstawowym celem systemu kaucyjnego jest zabezpieczenie dostępu do surowców i wykorzystanie ich ponownie w gospodarce. Chodzi o to, żeby opakowania nie stawały się odpadem, lecz wracały do obiegu jako wartościowy materiał. W tym scenariuszu z butelki powstaje kolejna butelka, a z puszki kolejna puszka.

To kwestia nie tylko ekologii, ale również bezpieczeństwa surowcowego i konkurencyjności polskiej gospodarki. Dobrej jakości surowiec z recyklingu może ponownie wykorzystywać krajowy przemysł, ograniczając zapotrzebowanie na surowce pierwotne i zależność od dostaw zewnętrznych.

Czystsze otoczenie i mniejsza liczba opakowań porzucanych w przestrzeni publicznej są oczywiście ważnymi efektami systemu. Nie powinny jednak przesłaniać jego podstawowego zadania: skutecznego odzyskiwania surowców i zamykania ich obiegu.

Jak ocenia Pan ten okres? Czy system spełnił pokładane w nim oczekiwania?

Z perspektywy konsumenta system działa, a Polacy coraz lepiej odnajdują się w nowych zasadach. Na początku zdarzało się, że butelkomaty odrzucały opakowania, które nie były jeszcze objęte systemem albo nie zostały prawidłowo zarejestrowane przez producenta w bazie produktów kaucyjnych. Problemem bywała również organizacja opróżniania urządzeń. To typowe wyzwania przy uruchamianiu tak złożonego przedsięwzięcia, wymagającego jednoczesnego działania wielu uczestników systemu kaucyjnego.

Nie oznacza to jednak, że możemy już uznać cały projekt za zakończony sukcesem. Sprawny zwrot opakowania to dopiero pierwszy etap. Najważniejsze jest, jaka część zebranego materiału rzeczywiście trafia do recyklingu i wraca do produkcji nowych opakowań. Ostatecznym miernikiem skuteczności systemu powinno być więc nie tylko to, ile opakowań zebraliśmy, ale przede wszystkim to, co stało się z odzyskanym surowcem, czy został zawrócony w obiegu zamkniętym. Musimy mieć wiarygodne dane o tym, ile materiału przekazano do recyklingu, jaka część wróciła do produkcji nowych opakowań. Dopiero takie podejście pozwala rzetelnie ocenić efektywność systemu.

My jako OK Operator prezentujemy nasze dane, zebraliśmy ponad 1,4 miliarda opakowań, co przekłada się na ponad 30 tysięcy ton materiału przekazanego do recyklingu. To najbardziej skuteczny recykling, bo już u źródła udaje nam się odpowiednio posortować materiał i oddzielić PET od puszek. A w ponad 20 sortowniach, z którymi współpracujemy w Polsce, sortujemy materiał na kolory. Jak wygląda sytuacja w przypadku innych operatorów, tych informacji nie mamy. Pytanie, czy ma MKiŚ.

System z perspektywy konsumenta działa, ale co wciąż wymaga poprawy? Jakie są obecnie największe wyzwania? Co nie działa?

Największym wyzwaniem jest dziś przejście od etapu sprawnej zbiórki do etapu pełnej koordynacji i przejrzystego rozliczania całego systemu. Polska przyjęła model wielooperatorski, w którym działa kilku niezależnych operatorów. Taki model daje możliwość konkurencji i optymalizacji kosztów, ale wymaga również wspólnych reguł współpracy.

Po roku działania systemu widzę wiele luk w ustawie. Kluczowym problemem w obecnych przepisach pozostaje brak precyzyjnej definicji tzw. clearing fee, czyli opłaty rozliczeniowej między operatorami za zbiórkę opakowań innych producentów. Ta kwestia nie jest ostatecznie rozstrzygnięta, co prowadzi do sporów. Nie ma też jasnego stanowiska ministerstwa.

Kolejna sprawa to kwestia nieodebranej kaucji. To jeden z najbardziej zapalnych punktów całego systemu, szczególnie w kontekście finansów. W obrocie sześciu działających operatorów znajduje się ok. 5 mld zł depozytu konsumenckiego. W ustawie brakuje pełnej definicji i sposobu postępowania z niezwróconą kaucją, która powinna być przeznaczana na rozwój systemu, a nie stanowić własność operatora czy producenta. Ustawa nie interpretuje tego jednoznacznie.

Nie istnieje obecnie żadna państwowa, ustawowa instytucja kontrolna, która monitorowałaby przepływy finansowe i materiałowe oraz weryfikowała realny poziom recyklingu w całym kraju.

Rozwiązaniem, które może uporządkować te kwestie, jest powołanie niezależnej instytucji parasolowej z udziałem przedstawicieli branży i regulatora, która koordynowałaby wspólne standardy, wymianę danych i zasady rozliczeń.

Potrzebujemy doprecyzowania przepisów, dialogu z administracją i regularnego analizowania danych. Chodzi o to, aby poprawiać działanie systemu tam, gdzie praktyka ujawniła niedoskonałości.

Czy wypracowane przez nas rozwiązania mogą stać się przykładem dla innych krajów?

Tak, pod warunkiem, że będziemy potrafili pokazać nie tylko skalę zbiórki, ale również efektywność kosztową i rzeczywiste rezultaty recyklingu.

Chciałbym, żeby Polska była przykładem nie tylko tego, jak szybko uruchomić system kaucyjny, ale przede wszystkim tego, jak stworzyć efektywny mechanizm zamkniętego obiegu opakowań, który łączy korzyści środowiskowe z bezpieczeństwem surowcowym i racjonalnymi kosztami dla przedsiębiorców.

eprasa.pl c2b087826f

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”

11.10 NIEDZIELA

W drugiej turze przyspieszonych wyborów prezydenckich w Krakowie wygrał Łukasz Gibała. Kandydat niezależny zdobył 62,12 proc. Pokonał Monikę Piątkowską, kandydatkę wystawioną przez Koalicję Obywatelską i PSL, która uzyskała 37,88 proc.

Frekwencja w wyborach wyniosła 44 proc. Ślubowanie nowego prezydenta zaplanowano na 21 października

14.10 ŚRODA

To może być punkt kulminacyjny tego roku w polityce. Maciej Berek, wybrany wcześniej przez Sejm na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, złożył ślubowanie, a następnie udał się do trybunału, by zacząć tam pracę. Przewodniczący TK Bogdan Święczkowski nie zgodził się jednak, by Berek zaczął pełnić obowiązki sędziego. Powód? Niewłaściwie złożone ślubowanie, gdyż doszło do niego nie „wobec prezydenta”, jak mówi ustawa.

Równolegle pod TK zaczęli się gromadzić politycy i zwolennicy opozycji. Policja musiała użyć siły. Na sobotę partie opozycyjne zapowiadają wielki marsz w obronie trybunału

15.10 CZWARTEK

Karol Nawrocki zawetował trzy ustawy: dotyczą zmian w Kodeksie wyborczym, o postępowaniach w sprawach reklamy politycznej oraz o wykonywaniu orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Ale jednocześnie podpisał osiem innych. Do tej pory prezydent podpisał 263 ustawy, a 44 zawetował

11.10 NIEDZIELA

Michał Kołodziejczak, były wiceminister rolnictwa i zawieszony w prawach poseł Koalicji Obywatelskiej, złożył zawiadomienie do ABW w Łodzi. Chodzi o wyciek nagrań z jego udziałem.

Na ujawnionych przez Kanał Zero taśmach słychać, jak poseł namawia kobiety do zażywania narkotyków, pojawiły się także zarzuty o przemoc. Kołodziejczak je odrzuca, twierdząc, że nigdy tego typu zdarzenia nie miały miejsca, a ujawnione nagrania to „patostreaming”

12.10 PONIEDZIAŁEK

Naczelny Dowódca Sił Sojuszniczych NATO w Europie gen. Alexus Grynkewich, występując podczas konferencji w Warszawie, przedstawił koncepcję, która pozwoli Sojuszowi pokonać ewentualnego agresora. Grynkewich zapewnił, że w przypadku agresji NATO podejmie walkę „tej samej nocy”. Podkreślając, że NATO to sojusz obronny, pokazał trzyfazowy plan pozwalający odeprzeć atak – nie wymieniając kraju, który mógłby się go dopuścić. – Jeśli zostaniemy zaatakowani, jesteśmy gotowi do natychmiastowej walki – zapewnił

13.10 WTOREK

U Leona XIV wykryto złośliwy nowotwór. Papież trafił do szpitala na zabieg, gdyż w jego płucu wykryto niewielki guz. W czasie operacji okazało się jednak, że zmiany nowotworowe są dużo szersze. „W przeprowadzonej radykalnej interwencji metodą wideochirurgii usunięto dolny płat prawego płuca” – napisano w komunikacie opublikowanym przez Watykan. Według zapewnień Ojciec Święty czuje się po operacji dobrze. Nie wiadomo, kiedy opuści szpital

15.10 CZWARTEK

Szczyt przywódców Unii Europejskiej poświęcony w dużej mierze nowemu budżetowi UE

Część państw chce dużej redukcji jego wysokości. Na to jednak nie zgadza się 17 krajów, tworzących tzw. klub przyjaciół spójności – wśród nich jest Polska. Nowy budżet ma obowiązywać od 1 stycznia 2028 r.

23.08 WTOREK

Trzecia rocznica wyborów, w wyniku których władzę objęła obecnie sprawująca władzę koalicja. Rząd Donalda Tuska niezbyt hucznie ją fetował. Ograniczył się do okazjonalnego klipu oraz serii wpisów w mediach społecznościowych.

Cykl „Polska górą” opisywał sukcesy rządu, m.in. wprowadzenie programu SAFE, uwolnienie pieniędzy z KPO czy rozwój kolei

PAP/RADEK PIETRUSZKA (2), PAP/MARIAN ZUBRZYCKI, PAP/EPA, PAP/MARCIN OBARA

eprasa.pl c2b087826f

POLITYKA

Dlaczego Trump grozi Zełenskiemu?

To najpoważniejszy od lutego 2025 roku kryzys między Waszyngtonem a Kijowem. Donald Trump wezwał do zmiany prezydenta Ukrainy, a poparł go Elon Musk, którego Starlinki są bezcenne dla ukraińskiej armii

oprac. Karolina Wrońska

Do tego w Białym Domu rozważa się odblokowanie rosyjskich aktywów, a USA grożą Kijowowi wstrzymaniem pomocy zbrojeniowej i wymiany danych wywiadowczych. Z kolei Wołodymyr Zełenski skrytykował umowę USA z Rosją o dostawach oleju napędowego, wyraził zdziwienie ogłoszeniem rozejmu energetycznego przez Trumpa, zaś ukraińska delegacja skróciła swoje rozmowy z Amerykanami.

W środę prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski ocenił, że Rosja celowo intensyfikuje ataki na Ukrainę, próbując wywrzeć w ten sposób presję na Kijów. Według prezydenta Ukrainy jest to efekt niedawnego osłabienia zachodnich sankcji wobec Kremla.

Zełenski poinformował we wpisie na Telegramie, że od początku minionej doby Rosja zaatakowała Ukrainę z użyciem ponad 850 dronów kamikadze.

FOT. AFP/EAST NEWS

Dobrze między Wołodymyrem Zełenskim a Donaldem Trumpem już było. Ostatnie dni doprowadziły do ochłodzenia stosunków

Ukraiński przywódca wezwał zachodnich partnerów do „uczciwości" w kwestii wojny.

„Ważne jest, żeby w Ameryce byli nie po stronie agresora, lecz po stronie obrony naszego życia i naszych prób zakończenia tej wojny oraz zagwarantowania bezpieczeństwa" - czytamy w komunikacie Zełenskiego. Prezydent opublikował ten wpis dzień po wizycie w Wielkiej Brytanii, gdzie powiedział tamtejszym mediom, że Ukrainę „boli", gdy prezydent USA Donald Trump staje po stronie Moskwy.

Ukraiński lider odniósł się do umowy między Moskwą a Waszyngtonem w sprawie „natychmiastowych" dostaw 300 tys. ton oleju napędowego w październiku oraz zwiększenia ich do 500 tys. ton w listopadzie. Porozumienie to ogłosił Trump w miniony piątek, 9 października, dodając, że przewiduje ono również dostawy 1 mln ton tego paliwa w kolejnych miesiącach.

„Nie mamy nic przeciwko, jeśli Donald Trump zajmuje neutralne stanowisko, ale jeśli już jest pośrodku, to musi pozostać pośrodku, a nie po złej stronie" - powiedział Zełenski w wywiadzie dla programu „Piers Morgan Uncensored".

W czwartkowym wpisie na Telegramie prezydent zaznaczył, że rosyjskie ataki z użyciem ponad 850 bezzałogowców typu Shahed przeprowadzono „właśnie w czasie sztucznego ograniczania prędkości (ukraińskich) zdolności obronnych".

Biuro Zełenskiego poinformowało wcześniej, że w nocy z wtorku na środę, bez wcześniejszego uprzedzenia, ograniczono funkcjonowanie wojskowego pakietu terminali internetu satelitarnego Starlink – StarShield. Połączenie z terminalami należącymi do amerykańskiego koncernu SpaceX miliardera Elona Muska zanikało w sytuacji, gdy bezzałogowce poruszały się z prędkością powyżej 160 km/h. Z tego powodu nie udało się zrealizować niektórych ważnych misji - powiadomiła strona ukraińska.

„Systemy StarShield są własnością rządu USA i pozostają pod jego kontrolą" - oznajmił Musk w środowym wpisie na X. Decyzje w sprawie „wszelkich ograniczeń dotyczących prędkości lub wykorzystywania systemów" należą do wojska USA, a ostatecznie do prezydenta kraju - podkreślił.

W czwartek źródło w ukraińskim resorcie obrony poinformowało portal The Kyiv Independent, że te ograniczenia zostały zniesione. „Potwierdziliśmy to na podstawie raportów z naszych jednostek" – powiedział anonimowy rozmówca serwisu. PAP

AKCJA SPECJALNA HIPOKRATES 0011597794

Każda forma pomocy ma znaczenie

W godzinach pracy zarządza apteką, w czasie wolnym prowadzi zajęcia edukacyjne i promuje szczepienia ochronne. Zapraszamy na rozmowę z Agnieszką Malissą, farmaceutką wyróżnioną we współorganizowanym przez markę Apteo konkursie „Recepta na dobro".

Czy Polacy obawiają się szczepień?

Po pandemii rozszerzył się zakres szczepień, które mogą wykonywać farmaceuci. Zauważyłam wówczas, że pacjenci mają mnóstwo pytań i wątpliwości związanych z immunoprofilaktyką. Niestety, wiele obaw wynikało z dezinformacji oraz niesprawdzonych wiadomości rozpowszechnianych w internecie czy wśród sąsiadów. W ten sposób narodził się pomysł zorganizowania serii spotkań edukacyjnych poświęconych m.in. temu zagadnieniu.

Jak te spotkania wyglądają?

Każde składa się z dwóch części. Najpierw prowadzę wykład na temat szczepień i profilaktyki, a następnie zapraszam do indywidualnych rozmów. W grupie seniorzy chętnie dzielą się doświadczeniami i zadają pytania, ale przecież nie każdy czuje się swobodnie, mówiąc o swoim zdrowiu publicznie. Dlatego wprowadzenie indywidualnych konsultacji okazało się strzałem w dziesiątkę. Pamiętam np. starszą panią, która przyniosła plecak po brzegi wypełniony lekami. Nie wiedziała, na co zostały przepisane i czy nie wpływają na siebie negatywnie. Cieszę się, że mogłam pomóc w tym i innych podobnych przypadkach. Bardzo pozytywne są też sytuacje, w których seniorzy podchodzą po wykładach, żeby dopytać o szczepienia i wsparcie oferowane przez farmaceutów.

Czy to znaczy, że społeczne postrzeganie zawodu zmienia się na lepsze?

Przez lata byliśmy „cichymi bohaterami" systemu ochrony zdrowia. Wyjaśnialiśmy działanie leków, czuwaliśmy nad bezpieczeństwem farmakoterapii i odpowiadaliśmy na pytania, na które podczas wizyt lekarskich nie było czasu. Jednak nadal sporo osób uważa, że rola farmaceutów ogranicza się do realizowania recept. Dzięki rozszerzonym uprawnieniom, szczepieniom czy działalności edukacyjnej częściej jesteśmy postrzegani jako równorzędni pracownicy ochrony zdrowia.

O przyszłości zawodu dużo mówi Pani na swoich profilach w portalach społecznościowych. Przed jakimi wyzwaniami stoją obecnie farmaceuci?

Coraz więcej moich koleżanek i kolegów po fachu zmaga się z wypaleniem zawodowym, nie wierzy w swoje kompetencje czy możliwości rozwoju. Jako certyfikowany trener rozwoju osobistego pomagam farmaceutom w budowaniu pewności siebie. Wspólnie szukamy sposobów na lepsze radzenie sobie ze stresem i zewnętrznymi oczekiwaniami. Warto bowiem pamiętać, że jesteśmy najbardziej dostępnymi pracownikami ochrony zdrowia - w tym tkwi nasza siła. Uważam jednak, że potrzebujemy dalszych systemowych zmian, które umożliwią farmaceutom pełne wykorzystanie kompetencji.

Właśnie za taką zaangażowaną postawę została Pani dostrzeżona w konkursie „Recepta na dobro".

To było niespodziewane! Wyróżnienie na pewno dało mi mnóstwo motywacji do dalszej pracy. Takie inicjatywy pokazują, jak istotną rolę w systemie ochrony zdrowia odgrywają farmaceuci - od edukacji, przez profilaktykę, aż po wspieranie pacjentów w bezpiecznym stosowaniu leków. Mam wrażenie, że często robimy bardzo wiele, ale nawet tego nie dostrzegamy. Dzięki konkursowi możemy podzielić się doświadczeniami, promować dobre praktyki, przede wszystkim zaś inspirować i wspierać innych farmaceutów.

Na koniec pytanie łatwe i trudne jednocześnie – czym jest recepta na dobro?

Dla mnie to wszystkie działania, za sprawą których pacjent czuje się zauważony, wysłuchany i postawiony w centrum uwagi. Nie muszą być ogromne, głośne czy medialne. Każda forma pomocy ma znaczenie, nawet ta pozornie niewielka.

eprasa.pl c2b087826f

POLITYKA

Walka o Trybunał Konstytucyjny. Decydujące starcie

W Trybunale Konstytucyjnym idą zmiany. Dzisiaj zasiada w nim ośmiu sędziów wybranych przez obecny Sejm – to większość w 15-osobowym składzie. Tyle że nie wszystkich uznaje opozycja i prezydent Nawrocki. Wygląda jednak na to, że koalicja rządząca postanowiła się tym nie przejmować

Dorota Kowalska

To dość zadziwiające, że twarzą protestów pod Trybunałem Konstytucyjnym był Robert Bąkiewicz, polityk, bądź co bądź, mocno skompromitowany. Jarosław Kaczyński do protestujących dotarł dopiero później.

– To jest zamach stanu i tak powinien być traktowany. Wierzę, że nie minie rok i odpowiednie działania wymiaru sprawiedliwości będą już podjęte – powiedział prezes Kaczyński. – Ten atak był całkowicie bezprawny, obrona jest uzasadniona. Mamy prawo tutaj być i bronić Trybunału Konstytucyjnego. Są to działania o charakterze przestępczym. Niezależnie od tego, kto jaki mundur nosi, jeśli w tym uczestniczy, dopuszcza się przestępstwa. To jest legalna demonstracja – dodał.

Przed siedzibą TK zebrali się zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości. Jak sami mówili, bronili Trybunału przed odbiciem przez koalicję rządzącą.

Ale też stało się to, czego wszyscy spodziewali się już od dłuższego czasu. W środę Maciej Berek złożył w Sejmie ślubowanie na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Uroczystość odbyła się w obecności marszałka Włodzimierza Czarzastego. Nie pojawił się na niej prezydent Karol Nawrocki.

– Wręczyłem panu Maciejowi Berkowi decyzję Sejmu o wybraniu go na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Pan Berek złożył ślubowanie wobec prezydenta w obecności notariusza – wyjaśnił Czarzasty. – Rola Sejmu w tym momencie się kończy, natomiast chcę powiedzieć, że rozpoczyna się czas na normalne, na skuteczne działanie Trybunału Konstytucyjnego. Oczekuję, że będzie to się działo w najbliższym czasie – stwierdził.

Czarzasty dodał, że Trybunał nie będzie już podejmował decyzji, które będą dyktowane „przez pana Kaczyńskiego, przez pana Ziobrę, który jest zastępcą pana Kaczyńskiego, przez pana Berkowicza".

– Nie będzie również Trybunał Konstytucyjny działał na wykładnię prezydenta, bez względu na to, jak się nazywa, bo Trybunał Konstytucyjny jest ciałem niezależnym, a nie jest ciałem zależnym od prezydenta albo od jakiejkolwiek partii politycznej – mówił marszałek Sejmu.

Czarzasty stwierdził, że w sprawie wybranych sędziów TK prezydent się „zagalopował", ale też, przynajmmniej jego zdaniem, Nawrocki „gubi się" w momentach, gdy sytuacja dla kraju i panującej w nim demokracji jest trudna.

– Ślubowanie wobec prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej nie mogło się odbyć, bo właśnie przyjmuję w Pałacu Prezydenckim prezydenta Czarnogóry – skomentował prezydent Karol Nawrocki, pytany o ślubowanie Macieja Berka w Sejmie. Jak podkreślił, jeśli Berek „nie dokonał tej formalności, oczywistej dla studentów pierwszego roku studiów, że wobec prezydenta takie ślubowanie przebiega w bezpośrednim sąsiedztwie przynajmniej prezydenta i wobec prezydenta, najlepiej w Pałacu Prezydenckim, (...) to z całą pewnością nie jest sędzią Trybunału Konstytucyjnego".

Marszałek Sejmu wydaje się opinią prezydenta nie przejmować. Czarzasty powołał się za to na wtorkową opinię Komisji Weneckiej, która uznała, że prezydent powinien niezwłocznie odebrać ślubowanie od sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez Sejm. Organ doradczy Rady Europy przekazał, że w przypadku zaniechania ze strony Nawrockiego sędziowie mogą złożyć przysięgę bez jego obecności, w formie przewidzianej przez prawo i skierowanej do głowy państwa.

Tak też się stało w przypadku Macieja Berka, nie pierwszy raz zresztą. Wcześniej prezydent nie odebrał ślubowania od czterech innych prawników wybranych w marcu na sędziów Trybunału. Ci również złożyli ślubowanie w Sejmie „wobec prezydenta".

– Linia przyjęta przez Kancelarię Sejmu i przez Sejm okazuje się zgodna z prawem – podsumował Czarzasty.

Jak nadmienił, „sędziowie, ośmiu wspaniałych, wjechali już na teren Trybunału Konstytucyjnego".

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Maciej Berek złożył ślubowanie w Sejmie i ma zrobić porządek w Trybunale. Ma na to pomysł

Chłodne przywitanie

Tu czekali na nich zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości pod wodzą Bąkiewicza.

Trybunału bronił też jego prezes Bogdan Święczkowski.

Wiadomo, jak wyglądała rozmowa Święczkowskiego z Maciejem Berkiem i pozostałymi zaprzysiężonymi w Sejmie sędziami TK.

– Korzystając z ochrony SOP-u, wchodzicie państwo na teren Trybunału Konstytucyjnego. Warunkowo macie tylko zgodę w dniu dzisiejszym, żeby wejść tutaj, do Trybunału – powiedział do nich na korytarzu prezes Święczkowski. Następnie zwrócił się do samego Berka. – Przejdźmy do rozmowy – dodał, zapraszając sędziego do jednej z sal.

Potem, już przed TK, mówił, że uniemożliwił sędziom wejście do części sędziowskiej.

– Pan Berek nie został dopuszczony do orzekania do czasu uzyskania odpowiedzi od pana prezydenta, czy uznaje to ślubowanie za złożone w jego obecności – tłumaczył Święczkowski.

Ale on sam może mieć niebawem kłopoty. Zdaniem ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka nowo zaprzysiężeni sędziowie mają bezwzględny obowiązek podjąć pracę w gmachu przy Alei Szucha.

– Ja nie tylko sobie nie wyobrażam, ale wierzę, że obowiązkiem sędziego jest stawić się do pracy. Sędzia Maciej Berek również musi się stawić. To nie jest przywilej, to nie jest jego fanaberia. To jest jego obowiązek – podkreślił minister na antenie Polsat News.

I dodał, że osoby blokujące sędziom wstępu do Trybunału łamią prawo.

– Każda następna osoba, która uniemożliwi sędziom wykonywanie swojego obowiązku konstytucyjnego, zostanie postawiona najpierw przed prokuratorem, a później przed niezawisłym sądem – oświadczył minister Żurek. I zasugerował, żeby „folwark pana Święczkowskiego wreszcie się opamiętał".

– Prokuratura już zadziałała w przypadku szefa ochrony straży trybunalskiej, postawiła zarzuty i zawiesiła go w czynnościach – wyliczał Żurek. – W przypadku szefowej Kancelarii Trybunału, która wykonywała bezprawnie działania pana Święczkowskiego, zostały postawione zarzuty, również została zawieszona w czynnościach i prokuratura będzie tu absolutnie konsekwentna – dodał.

Według szefa resortu sprawiedliwości sędziowie, którzy złożyli ślubowanie, stanowią fundament odbudowy instytucji i powinni bezzwłocznie „zacząć planować restytucję działania Trybunału Konstytucyjnego". Jak zaznaczył, paraliż uderza przede wszystkim w obywateli.

– Sytuacja jest rzeczywiście bardzo trudna. Mamy zresztą złożone doniesienia do prokuratury przez obywateli, którzy od wielu lat nie mogą się doczekać rozpoznania ich skarg. Mam wrażenie, że te sprawy były wrzucone do szafy – mówił Żurek.

Wiadomo, że prokuratura prowadzi postępowanie dotyczące ingerencji w składy orzekające. Kolejne śledztwo

eprasa.pl c2b087826f

dotyczy manipulowania składami i bezprawnego zmieniania składów przez byłą prezes TK Julię Przyłębską i obecnego prezesa – Bogdana Święczkowskiego.

Trybunał z problemami

Tak czy inaczej, mamy w tej chwili razem z Maciejem Berkiem ośmiu członków Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez obecny Sejm. To większość w 15-osobowym składzie. Prezydent Nawrocki nie odebrał jednak ślubowania od pięciorga z nich. Sędziowie złożyli je więc w Sejmie z formułą, że czynią to „wobec prezydenta". KPRP nie uznaje tego za ślubowanie, a prezes TK Bogdan Święczkowski nie dopuścił nowych sędziów do orzekania.

Ale to niejedyny problem Trybunału Konstytucyjnego. Ten może w 2027 roku zostać bez budżetu, a w konsekwencji bez możliwości normalnego działania. Pod koniec sierpnia minister finansów Andrzej Domański poinformował, że w projekcie budżetu państwa na 2027 roku nie uwzględniono dochodów i wydatków TK. Resort tłumaczył, że przekazana przez Trybunał informacja nie została wcześniej uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne sędziów, czego wymagają przepisy. Bogdan Święczkowski przekazał ministrowi projekt budżetu mimo braku uchwały Zgromadzenia Ogólnego, wskazując, że dwukrotnie nie udało się go przyjąć z powodu braku kworum.

Siedmioro sędziów TK alarmowało, że prezes Bogdan Święczkowski nie zwołuje Zgromadzenia Ogólnego, które powinno zająć się tą sprawą.

Autorzy pisma podkreślili, że „w trosce o zapewnienie możliwości prawidłowego funkcjonowania TK", a także mając na uwadze »oczywistą potrzebę zagwarantowania praw pracowniczych wszystkich osób zatrudnionych w TK, jak również świadczeń dla sędziów w stanie spoczynku«, domagają się zwołania Zgromadzenia Ogólnego „z udziałem wszystkich sędziów Trybunału wybranych przez Sejm".

„Zwołanie Zgromadzenia Ogólnego Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie jest obowiązkiem sędziego Bogdana Święczkowskiego, kierującego pracami Trybunału" – czytamy w dokumencie.

Sędziowie podkreślają, że pozbawienie Trybunału środków finansowych „grozi całkowitą niemożnością realizowania jego zadań, a w konsekwencji pozbawieniem obywateli ochrony konstytucyjnych wolności i praw".

Święczkowski tłumaczył jednak, że przeprowadzenie posiedzenia jest niemożliwe z powodu sporu o udział w nim części sędziów.

Wobec narastającego w TK chaosu plan Donalda Tuska był zatem prosty: Maciej Berek, jego prawa ręka, zaprowadzi w nim porządek. I z nieoficjalnych informacji wynika, że jest pomysł, jak to zrobić. Tym bardziej że ponoć niektórzy z sędziów wybranych do TK jeszcze za czasów Zjednoczonej Prawicy mają dość zamieszania i chcą normalnie pracować.

W drodze do chaosu

Skąd ten szum wokół Trybunału Konstytucyjnego? Historia politycznych zawirowań wokół TK zaczęła się w 2015 roku. I, żeby było jasne, winowajcą całego zamieszania byli politycy ówczesnej koalicji rządzącej, czyli Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. To głównie ich głosami 8 października 2015 roku Sejm VII kadencji wybrał pięciu nowych sędziów: Romana Hausera, Krzysztofa Ślebzaka, Andrzeja Jakubeckiego, Bronisława Sitka i Andrzeja Sokalę, którzy mieli być następcami trzech sędziów kończących kadencję 6 listopada i dwóch, których kadencje kończyły się w grudniu, a więc już w czasie następnej kadencji parlamentarnej. Tak więc wybrano sędziów niejako „na zapas". Kilka dni później odbyły się wybory parlamentarne, które wygrało Prawo i Sprawiedliwość.

Prezydent Andrzej Duda nie odebrał ślubowania od wybranych sędziów, choć zgodnie z obowiązującą wówczas ustawą o Trybunale Konstytucyjnym powinien to zrobić, ale też podkreślał, że ich wybór nie był zgodny z konstytucją.

Także posłowie PiS zakwestionowali konstytucyjność wyboru sędziów, ale czekali na rozwój sytuacji. Wniosek w tej sprawie do TK złożyli sami posłowie KO. 3 grudnia 2015 roku TK uznał, że Sejm VII kadencji wybrał dwóch sędziów TK w sposób niezgodny z konstytucją (w miejsce tych, których kadencja kończyła się w grudniu), a wybór pozostałej trójki (w miejsce tych, których kadencja skończyła się w listopadzie) był z nią zgodny.

PiS, zanim jeszcze zapadło rozstrzygnięcie w Trybunale Konstytucyjnym, unieważnił wszystkie uchwały z 8 października 2015 roku i wybrał pięciu nowych sędziów TK: Henryka Ciocha, Lecha Morawskiego, Mariusza Muszyńskiego, Julię Przyłębską i Piotra Pszczółkowskiego. Prezydent Andrzej Duda w nocy odebrał od nich ślubowanie.

Henryk Cioch i Lech Morawski zmarli w 2017 roku. W ich miejsce wybrano Justyna Piskorskiego i Jarosława Wyrembaka i dlatego, zdaniem większości prawników, podobnie jak Mariusz Muszyński zasiadają w TK bezprawnie. Stąd nazwa „dublerzy."

– W sprawie wyboru sędziów TK to nie my złamaliśmy konstytucję, ale nasi poprzednicy w poprzedniej kadencji. My nie mogliśmy tolerować łamania konstytucji – mówił potem prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Politycy Platformy Obywatelskiej szybko zdali sobie z tego sprawę, że popełnili błąd, z którego skwapliwie skorzystali politycy Prawa i Sprawiedliwości.

– Za to działanie przepraszamy i jesteśmy przekonani, że na kanwie tej sprawy już nigdy więcej nie zdarzy się taka sytuacja – mówił już w grudniu 2015 roku Borys Budka, były minister sprawiedliwości.

– Co do tych dwóch uderzam się w pierś – wtórował mu Marcin Święcicki.

Krzysztof Brejza dodał z kolei, że „PO już wcześniej uderzyła się w pierś, składając wniosek do Trybunału Konstytucyjnego."

Kamila Gasiuk-Pihowicz stwierdziła, że wybór dwóch sędziów „na zapas" nie był najrozsądniejszym ruchem polityków Platformy, którzy najwidoczniej uznali, że większości sejmowa może wszystko. Ryszard Kalisz, prawnik, bez ogródek przyznał, że PO popełniła błąd i zrobiła to świadomie.

– Za dużo chciała. Doskonale wiedziała, że przegra wybory – ocenił.

Za błędy trzeba płacić. I koalicja rządząca właśnie to robi, starając się zakończyć niebezpieczną polityczną grę, którą sama rozpoczęła.

Walka z wiatrakami

Poprzedni minister sprawiedliwości Adam Bodnar działał powoli, z rozwagą, czym narażał się na krytykę tych, którzy uważają, że zmiany w wymiarze sprawiedliwości należy wprowadzać natychmiast. Po Prokuraturze Krajowej, odsunięciu rzeczników dyscyplinarnych powołanych przez Zbigniewa Ziobrę i wymianie prezesów sądów przyszedł czas na Trybunał Konstytucyjny.

Bodnar 4 marca 2024 roku nie z kim innym, a razem z Maciejem Berkiem, wówczas ministrem w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, politykami ugrupowań rządzącej koalicji oraz byłymi sędziami TK przedstawił założenia kompleksowej reformy Trybunału Konstytucyjnego. Koalicja położyła na stół cztery projekty: uchwały Sejmu RP w sprawie usunięcia aktów kryzysu konstytucyjnego lat 2015-2023 w kontekście działania TK, ustawy o zmianie konstytucji, ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, ustawy wprowadzającej ustawę o TK.

Sejm przyjął uchwałę w celu usunięcia skutków kryzysu konstytucyjnego oraz przywrócenia zgodności działalności Trybunału Konstytucyjnego. W ten sposób zrealizował pierwszy z czterech punktów planu zreformowania TK. Prawnicy podkreślali jednak, że to swoista deklaracja polityczna, która nie zmieni stanu prawnego. Do tego potrzebna jest nowa konstytucja i nowa ustawa o Trybunale Konstytucyjnym.

Sytuacja zmieniła się nieco, kiedy koalicja rządząca postanowiła obsadzić wolne wakaty w Trybunale Konstytucyjnym, części sędziów skończył się bowiem czas urzędowania w TK. Jeszcze przed wyborem nowych sędziów Sejm przyjął uchwałę w sprawie Trybunału. Ściśle mówiąc, chodzi o uchwałę w „sprawie działań niezbędnych do zapewnienia spełniania przez TK wymogów sądu ustanowionego na mocy prawa, niezawisłego i bezstronnego". Stwierdzono w niej, że Trybunał przestał spełniać swoją funkcję jako organ bezstronny i niezawisły, służący obywatelom jako najważniejszy strażnik ich konstytucyjnych praw, co – jak zaznaczono – zostało potwierdzone przez polskie sądy i europejskie trybunały. W przyjętej uchwale stwierdzono też, że należy podjąć działania przywracające niezawisłość i bezstronność Trybunałowi Konstytucyjnemu.

W Sejmie i w sieci zawrzało

Jak można się było spodziewać, ślubowanie Macieja Berka i jego wejście z pozostałymi sędziami do TK wywołało falę komentarzy – tak na sejmowych korytarzach, jak i w internecie.

– To jest groteska. Ja komentuję poważne rzeczy. Komedii czy tragikomedii nie komentuję. To jest podsumowanie tego, jak wygląda ta koalicja. W przeddzień wyborów zamykają się w gabinetach, udają, że ślubują przed prezydentem, a podstawą ich działania nie jest konstytucja i ustawy, tylko różnego rodzaju opinie, uchwały, stanowiska. To nie ma nic wspólnego z państwem prawa i demokracją. A pan Berek bardzo źle zapisze się w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości i TK – stwierdził szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki.

„Dość kpiny z państwa. Ślubowanie sędziego TK składa się wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, nie wobec sejmowych mebli. To nie jest kwestia dekoracji ani politycznego gestu, lecz podstawowa reguła ustrojowa. Maciej Berek, godząc się na tę farsę, nie przywraca powagi Trybunałowi. Przeciwnie: dokłada kolejną warstwę chaosu do instytucji już głęboko uwikłanej w spór polityczny. Nie da się wyjść z tego zapętlenia kolejnymi obchodzeniem prawa i symbolicznych procedur. Potrzebny jest konstytucyjny reset TK: nowe otwarcie, jasne zasady i instytucja zdolna odzyskać autorytet. To właśnie proponuje Rozwój Plus" – pisze Mateusz Morawiecki, były premier z PiS, obecnie lider Rozwoju Plus.

Inaczej na sprawę patrzą politycy koalicji rządzącej.

„Maciej Berek złożył ślubowanie. Zgodnie z prawem, konstytucją i opinią Komisji Weneckiej. Obstrukcja Nawrockiego jest bez znaczenia. Naprawiamy TK" – napisał Zbigniew Konwiński, szef klubu parlamentarnego KO.

A Tomasz Trela z Lewicy zaznaczył, że „Święczkowski ma obowiązek przydzielić sprawy każdemu legalnie wybranemu sędziemu. Jeżeli tego nie zrobi, odpowiednie służby państwa powinny zrobić z nim porządek". „Dość tego pisowskiego dziadostwa!" – podsumował.

Wydaje się, że walka o Trybunał Konstytucyjny wchodzi w decydującą fazę. Problem w tym, że bez zmian przeprowadzonych ponad podziałami zawsze przez którąś ze stron sporu politycznego będzie uznawany za atrapę, instytucję działającą w sposób nielegalny.

REKLAMA 0311461412

eprasa.pl c2b087826f

POLITYKA

Prof. Pietrzyk-Zieniewicz: Coraz więcej osób zadaje sobie pytanie, kto właściwie rządzi w kraju

– Poczynania Karola Nawrockigo powodują, że wielu uważa, iż pan prezydent jest głównym głosem, który ostatecznie będzie decydował o wszystkim, a w każdym razie o polityce naszego kraju. Innych, którzy lepiej orientują się w tym, w jakim systemie żyjemy i co to za sobą pociąga – musi drażnić to, że pan prezydent, jak zresztą mówią politycy ekipy rządzącej, widzi się w roli króla, nie daj Boże cesarza – mówi prof. Ewa Pietrzyk-Zieniewicz, politolożka z UW

Dorota Kowalska

Pani profesor, wybory w Krakowie to jakaś przesłanka, przedsmak tego, co nas czeka w wyborach parlamentarnych?

O tym, jak się w Krakowie potoczyły sprawy, zadecydowało kilka czynników, w tym błędy polityków Platformy, tematyka poruszana podczas kampanii, specyfika miasta. Ale jeśli chodzi o jakiekolwiek analogie do wyborów powszechnych, czy też założenie, że Kraków rozpoczął jakąś – jak cieszą się niektórzy – serię klęsk platformerskich, to zupełnie kuriozalna teza, którą odrzucam. Podobnie jak głosy, że Platforma chciała te wybory przegrać.

A czemu Platforma miałaby chcieć te wybory przegrać?

Tak głosi fama. Nic doprecyzować nie potrafię, bo to jest i irracjonalne, i dziwaczne. Ale były takie głosy, więc o nich wspominam.

Właśnie, wspomniała pani o tym, opozycja podnosi, iż to początek klęsk Koalicji Obywatelskiej, a hasłem przewodnim wyborów parlamentarnych będzie: odsunąć Tuska od władzy! Tak będzie?

Nie podzielam tej opinii. Żaden to początek. Naprawdę trudno szukać analogii pomiędzy wyborami samorządowymi a parlamentarnymi. Nie ma czegoś takiego po prostu. A po drugie: dlaczegóż początek? Przecież jak przyjrzeć się zwłaszcza II turze to to, co się zadziało, było jasne dość i oczywiste, a już na pewno przewidywalne. I tak się też stało. Tak że nie snułabym tutaj żadnych ciągów dalszych.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Prof. Ewa Pietrzyk-Zieniewicz: Okazało się też, że prezydent po roku prezydentowania ma najniższe poparcie spośród wszystkich poprzednich prezydentów. To musiało i zastanowić, i trochę ostudzić podgrzaną atmosferę Pałacu Prezydenckiego

Czemu, pani zdaniem, Łukasz Gibała wygrał wybory na prezydenta Krakowa?

Bardzo tego chciał – to po pierwsze, ale też ważne. Ale, dobrze, teraz będzie analitycznie: czemu pan Gibała wygrał? Miał do czynienia z terenem, czyli swoim Krakowem, bardzo zniechęconym do co najmniej kilku rzeczy, które tam się wydarzały. Po pierwsze – opinia bardzo wielu Krakusów: rządzący nie liczą się kompletnie z tym, czego chcą ludzie, mieszkańcy miasta, tylko robią swoje. Cóż, to nigdy nie jest opinia, która pomaga. Po drugie – Krakowiacy byli bardzo niezadowoleni – to był zresztą jeden z powodów odwołania wcześniej prezydenta – z tego, że ojciec miasta ciągnie za sobą jakieś tabuny przyjaciół i „znajomych królika". Tam się rzeczywiście pojawiały nazwiska bardzo wielu działaczy partyjnych albo ich pociotków, którzy siedzą na posadach podległych ratuszowi. No i bardzo umiejętnie podgrzana atmosfera już podczas kampanii pana Gibały, która punktuje co najmniej dwie rzeczy. Pierwsza rzecz jest taka, że oto jest człowiek, który nie przychodzi do ratusza po pieniądze, bo je ma. Powtarzało się, że bardzo duże sumy pan Gibała zainwestował w swój bój o Kraków – i wcześniej, i teraz. I nie jest reprezentantem partii, więc nie będzie zatrudniał tych znajomych i „przyjaciół królika", którzy przyjdą po posady w ratuszu i w ogóle generalnie, dobrze by było, żeby żadna partia tu nie rządziła, tu jest Kraków, to jest nasze miejsce na Ziemi – tak stawiał sprawę Gibała. Więc pan Gibała miał bardzo duże dowartościowanie. Wystarczało je tylko umiejętnie podtrzymywać w kampanii. I tak też się stało – do czterech razy sztuka.

Kiedy pani patrzy na to, co dzisiaj dzieje się na polskiej scenie politycznej, to myśli pani, że ten konflikt między prezydentem a rządem będzie się nasilał?

Na razie nie widzę zwiastunów, które by go miały łagodzić. Także nie mam wielkiej nadziei, że się nasilał nie będzie – może tak to nazwę.

Prezydent Nawrocki ostatnio zrobił krok w tył, jeśli chodzi o ustawę paliwową i jej nie zawetował. Chyba nie miał wyjścia, prawda?

Więc właśnie, tutaj jednak słupki poparcia bardzo ważą, a nagle okazało się, że drgnęły w dół. Okazało się też, że prezydent po roku prezydentowania ma najniższe poparcie spośród wszystkich poprzednich prezydentów. To musiało i zastanowić, i trochę ostudzić podgrzaną atmosferę Pałacu Prezydenckiego. Dlatego, mam wrażenie, prezydent podpisał tę ustawę. Tym bardziej że ceny paliw to ważna dla Polaków sprawa, zwłaszcza dla ich kieszeni.

Prezydent walczy o rząd dusz na prawicy?

Prezydentura to dwa razy pięć, a pan prezydent jest jeszcze stosunkowo, jak na polityka, młodym człowiekiem. Trochę to się już odkręca. gdzieś tam w świecie, ale na razie powolutku – więc jest stosunkowo młodym człowiekiem w polityce. Siłą rzeczy będą musiały nastąpić jakieś ciągi dalsze. Być głównym wodzem prawicy to na pewno marzenie polityka o prawicowych poglądach, więc czemu nie. Wiadomo, że jeśli się ma takie marzenia, trzeba budować swoje polityczne zaplecze stosunkowo wcześnie. Inna rzecz, że prawica jest w tej chwili mocno poszatkowana, zatem nie do końca tak naprawdę wiadomo, jak to się ostatecznie przełoży na kampanie i późniejszą elekcję 2027 roku. Gdyby prawica była jedną pięścią to na pewno prawicowcy mogliby być spokojniejsi. No i wreszcie reelekcja pana prezydenta – jeżeli

eprasa.pl c2b087826f

to głosami prawej strony, tu nic się nie zmieniło. Polska jest podzielona na pół – ci, którzy głosowali na Rafała Trzaskowskiego, wcale nie zmienili zdania, nie mieli zresztą takich powodów.

Zostańmy trochę przy prawicy. Pani zdaniem wyjście Morawieckiego i jego ludzi z PiS-u, działa na korzyść czy niekorzyść prawicy?

Ugrupowanie pana Morawieckiego to takie ugrupowanie, którego lider okrakiem na barykadzie stoi. Natomiast tutaj nie kombinowałabym dużo, bo kiedy przyjdzie co do czego, mam wrażenie, że stare przyjaźnie ożyją, stare nieprzyjaźnie pewnie też. Racja partyjna zwycięży i pan Morawiecki wesprze swoich dawnych przyjaciół.

Myśli pani, że do takiego pojednania może dojść jeszcze przed wyborami?

Czy przed wyborami, tego bym nie przesądzała. Wie pani, do wyborów parlamentarnych został jeszcze rok. I wszystko zależy, co się w ciągu tego roku wydarzy. Sytuacja na świecie jest bardzo niepewna, u nas też ciągle coś się dzieje. Więc wszystko zależy od tej szybko zmiennej rzeczywistości.

Pojednają się mimo tego wszystkiego, co ostatnio o sobie mówią?

Nie takie rzeczy polityka widziała.

Mówi się, że w Konfederacji też nie ma jedności: jest Sławomir Mentzen, jest Krzysztof Bosak. To dwie jednak różne wizje Polski, dwie różne osobowości, obaj bardzo ambitni.

W Konfederacji nigdy jedności nie było. Tam było większe lub mniejsze zawieszenie broni. Ale to są jednak dwa różne odłamy, a nawet jak mówią niektórzy: dwie Konfederacje.

Plus trzecia Grzegorza Brauna.

Plus trzecia Brauna. Ta jest dziwna i inna. Notabene tak ekstremalnie się zachowująca, że i bosakowcy i mentzenowcy muszą się czasem od niej dystansować, bo nie chcą brać udziału w zachowaniach poniżej pewnej granicy, poniżej której polityk szanujący się schodzić nie powinien. Tego chyba tłumaczyć nie muszę. Latanie z gaśnicą po parlamencie to nie jest zajęcie dla poważnego lidera plus różnego rodzaju twierdzenia, oświadczenia. Nie chcę powiedzieć rusofila, ale coś bardzo bliskiego – to spoglądanie w stronę Rosji i Putina, jakieś faszyzujące okrzyki, bardzo dziwne widzenie historii. Już to by wystarczyło, żeby łapać dystans od pana Brauna.

Skąd takie poparcie dla Brauna, jak pani myśli?

To jest poparcie sięgające 10 procent.

Biorąc pod uwagę poglądy, jakie głosi pan Braun, to jednak sporo!

To sporo, z tym, że pamiętajmy, Braun pociąga za sobą także młodszych wyborców. Po pierwsze – głosi poglądy, co do których wielu nie przypuszczało, że takie poglądy w ogóle mogą zaistnieć w przestrzeni publicznej. Idzie pod prąd mainstreamu na pewno, to się też wielu podoba. I wreszcie jest naprawdę bardzo radykalny w swoich zachowaniach. Znowu usiłuję łagodnie to nazwać, patrzy na świat z pozycji siły. Siłą dostaniesz swoje – zdaje się mówić cały swoim zachowaniem – bardzo wielu, zwłaszcza młodszym, twardy gość może się podobać.

Pani profesor, Donald Tusk powiedział ostatnio, że „grzeczny już był", idzie na poważne stracie z dużym pałacem. Ta ofensywa uda się premierowi?

Nie wiem. Natomiast pan premier nie ma wyjścia. Rzeczywiście już doszło do sytuacji, w której coraz więcej osób zadaje sobie pytanie, kto właściwie rządzi w kraju. Bo faktycznie poczynania pana prezydenta powodują, że wielu uważa, iż pan prezydent jest głównym głosem, który ostatecznie będzie decydował o wszystkim, a w każdym razie o polityce naszego kraju. Inni, którzy lepiej orientują się w tym, w jakim systemie żyjemy i co to za sobą pociąga – tych musi drażnić to, że pan prezydent, jak zresztą mówią politycy ekipy rządzącej, widzi się w roli króla, nie daj Boże cesarza. A za chwilę będzie kolejne zderzenie: mamy wyrok Komisji Weneckiej, z którego jasno wynika, że pan prezydent nie ma racji, twierdząc, iż musi być osobiście obecny przy zaprzysięganiu sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Z wyroku wynika też, że pan Święczkowski jest kandydatem do trybunału, ale jako podsądny. Ponieważ ten wyrok nie jest wiążący w sensie prawnym, to podejrzewam, że Pałac Prezydencki nawet nie weźmie go pod uwagę. Zaś strona rządowa będzie o nim mówić dużo, bo to jest jakaś podpórka do rozwiązania sytuacji, którą w tym Trybunale Konstytucyjnym mamy. Dojdą też sprawy kolejne: mamy rozstrzygnięcia dotyczące Pegasusa, ileś tam spraw skierowanych do dalszego procedowania w sądach. Poznamy dopiero nazwiska, ale już wiemy, że są takie sprawy. Więc znowu strona opozycyjna rozkrzyczy się, że to zemsta, zamach na nią, zamach na demokrację! Mamy sytuację napięcia w szkolnictwie. Tu jedni mówią – i słusznie – że rząd robi, co może, inni – opozycja czytaj – że rząd sobie nie radzi i nic nie może. Jak do tego dodamy jeszcze służbę zdrowia i nasze relacje polsko-amerykańskie, polsko-ukraińskie – oj, to będzie się o co awanturować.

Kto na tej awanturze może najwięcej zyskać?

Nie mam w tej chwili jednoznacznej odpowiedzi. Wiem na pewno, że to jest kwestia tego, w jaki sposób sprawy się będą rozwijały. No i kwestia pewnej mądrości polityków. Pytanie, czy pan premier stanie na wysokości zadania i taką mądrość wykaże, czy też nasza opozycja wygra te starcia. Dzisiaj bardzo trudno to rozstrzygnąć. Proszę zauważyć, że bardzo trudno rozstrzygać, jak się będą tak naprawdę układały reakcje polsko-amerykańskie. One musza być dobre, ale one mogą być bardzo dobre, ale mogą też być średnio dobre – tak to nazwę. To przecież zależy także od drugiej strony, a druga strona, pan prezydent Donald Trump jest zupełnie nieprzewidywalny w swoich decyzjach bądź ich braku.

Skoro już przy tym jesteśmy, wyobraża sobie pani sytuację, że prezydent obcego mocarstwa namawia jednego z koalicjantów ekipy rządzącej innego kraju, żeby opuścił rząd i stworzył go z opozycją? To się chyba trochę nie mieści w głowie!

Jestem tak zdumiona jak wszyscy inni, którym się to w głowie nie mieści. To już nie jest nawet wtrącanie się, to jest włażenie z brudnymi butami w sprawy innego, niepodległego, demokratycznego kraju. Amerykanie robią nam prezent – gdyby to wszystko się potwierdziło, sądzę, że także z tego powodu strona rządowa tak ostrożnie nas o tym informuje, o tym, co właściwie było w tych rozmowach między prezydentem Stanów Zjednoczonych a wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem – bo gdyby to się potwierdziło, to Amerykanie robią nam taki prezydent, jaki przez lata robili nam Rosjanie. Polacy są szczególnie uczuleni na tego rodzaju wtrącanie się, łagodnie mówiąc, w nasze sprawy wewnętrzne.

W jakiej konfiguracji koalicja rządząca powinna pójść do wyborów? Stworzyć jedną, dwie listy wyborcze?

Jedna lista wyborcza już jest niemożliwa. Tego się po prostu nie da zrobić. I to z bardzo wielu powodów: po prostu – nie. Dobrze by było, żeby tych list było dwie, góra trzy, a szykuje się ich więcej. Proszę zauważyć, że nawet Lewica jak tak dalej pójdzie, nie ruszy do wyborów razem, bo pan Zandberg i pan Czarzasty nie poprowadzą swoich tą samą ścieżką.

Jak pani myśli, co w ostatecznym rachunku zadecyduje o tym, jak zagłosują ci niezdecydowani, bo pewnie większość Polaków już wie, na kogo odda głos w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych?

Ja tu bym właśnie dyskutowała. Spora część Polaków tego nie wie i mam wrażenie, że to nie są pierwszoplanowe sprawy w tej chwili jeszcze dla Polaków. Rok przed wyborami, to dla polityków już nie dużo czasu, ale dla reszty społeczeństwa jest jeszcze czas: zobaczy się, co oni tam będą do nas mówili albo co się zdarzy, jak się sytuacja rozwinie. To kwestia, na ile się różne rzeczy poprawią, na ile nie, na ile będzie gorzej. Chociażby dzisiaj widzimy, że paliwo już trochę drożeje, a miało tanieć. Służba zdrowia jednak ciągle w zapaści i nic nie wskazuje na to, że będzie inaczej. Pytanie, jak nam się to wszystko przełoży na finanse, co rząd wymyśli, żeby pokazać, że jednak rządzi i trzyma mocno ten ster.

Kwestie życia codziennego, tego po prostu jak nam się żyje, będą decydujące?

Z całą pewnością też! Ale oczywiście nie tylko, składowych będzie wiele.

REKLAMA 0011598352

Wojewódzki Szpital Specjalistyczny
im. Janusza Korczaka w Słupsku Sp. z o.o.

Podmiot Leczniczy Samorządu Województwa Pomorskiego

ogłasza
wszczęcie postępowań kwalifikacyjnych na stanowiska:

Dyrektora ds. Lecznictwa

oraz

Lekarza z jednoczesnym pełnieniem funkcji Koordynatora Szpitalnego Oddziału Ratunkowego

Składanie ofert w obydwu konkursach:
do dnia 23.10.2026 r. do godz. 15.00.

Szczegółowe informacje na stronie www.szpital.slupsk.pl

eprasa.pl c2b087826f

POLITYKA

Pegasus w rękach Zjednoczonej Prawicy. Tusk: To zbrodnia stanu

Komisja śledcza ds. Pegasusa przedstawiła swój raport. Wnioski są porażające: systemem inwigilowano opozycję, prawników, samorządowców, ludzi niewygodnych dla władzy. Polskie służby nie miały nad Pegasusem pełnej kontroli, za to dane zbierane przez system mogły trafiać do obcego państwa

Dorota Kowalska

To był moment, na który czekało wielu Polaków, zwłaszcza tych, dla których kwestia rozliczenia rządów Zjednoczonej Prawicy jest sprawą ważną, a nawet kluczową. W tym wypadku idzie jednak o coś więcej: o fundamenty demokracji.

W tym tygodniu sejmowa komisja śledcza ds. Pegasusa przedstawiła jawną część raportu dotyczącego zakupu, legalności i sposobu wykorzystywania tego systemu.

– Jest to dokument o tym, jak władza publiczna w Polsce sięgnęła po narzędzie ingerujące w prawa obywatelskie – powiedziała przewodnicząca komisji Magdalena Sroka, prezentując raport z prac. Dodała, że służby wykorzystywały Pegasusa nie do walki z przestępczością, lecz do inwigilacji „sędziów prokuratorów, samorządowców, polityków opozycji".

Trochę liczb: jawna część raportu liczy 370 stron, członkowie komisji przesłuchali 77 świadków i biegłego, komisja złożyła 10 zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez 11 osób, a także 11 wniosków o zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie świadków. Cztery osoby zostały zatrzymane.

Zawiadomienia dotyczą Zbigniewa Ziobry i Mariusza Kamińskiego, byłych szefów służb specjalnych. Zarzuca się choćby im przekroczenie uprawnień, czy wyrządzenie szkód majątkowych. Ale padają też inne nazwiska, lista jest długa: Maciej Wąsik, Michał Woś, Ernest Bejda, Grzegorz Ocieczek, Piotr Pogonowski, Maciej Materka, Teresa Rutkowska-Szmydyńska, Mikołaj Pawlak oraz Maciej Szpanowski.

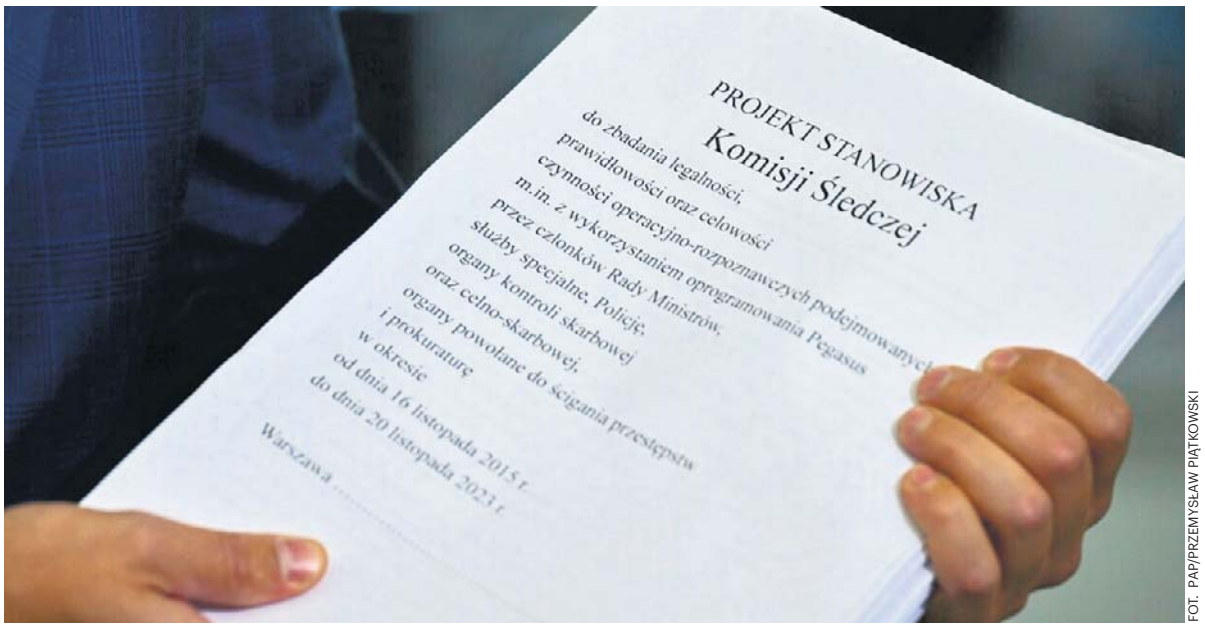

FOT. PAP/PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI

W poniedziałek komisja śledcza ds. Pegasusa zaprezentowała jawną część sprawozdania

System totalnej inwigilacji

O systemie szpiegowskim Pegasus opinia publiczna usłyszała pod koniec grudnia 2021 roku. To wtedy amerykańska agencja prasowa Associated Press, powołując się na ustalenia działającej przy Uniwersytecie w Toronto grupy Citizen Lab, podała, że za pomocą opracowanego przez izraelską spółkę NSO Group oprogramowania Pegasus inwigilowany był senator KO Krzysztof Brejza, adwokat Roman Giertych i prokurator Ewa Wrzosek. Amnesty International poinformowała, że niezależnie od grupy Citizen Lab potwierdziła, iż „potężne oprogramowanie szpiegowskie izraelskiej firmy NSO Group" zostało użyte do zhakowania senatora Brejzy, gdy prowadził kampanię wyborczą opozycji w wyborach parlamentarnych w 2019 roku.

Na początku politycy Zjednoczonej Prawicy zaprzeczali tym doniesieniom. Potem, wobec oczywistych faktów, musieli przyznać, że taki system był na użytku władzy. Miał służyć do inwigilowania najgroźniejszych przestępców, okazało się jednak, że nie tylko. Przedstawiciele ówczesnego obozu władzy cały czas tłumaczyli, że zgody na użycie Pegasusa wydawały sądy, więc oni mają „czyste ręce".

Tyle tylko, że we wniosku do sądu o zgodę na kontrolę nie podaje się rodzaju sprzętu, którego chce się użyć. Wydając zgodę na inwigilację, sądy nie wiedzą i nie żądają podania, czy ktoś będzie podsłuchiwany Pegasusem czy innym sprzętem służącym do kontroli operacyjnej.

Potwierdzili to członkowie komisji. – Władza wprowadziła w błąd sądy, skierowała je nie przeciwko szpiegom czy terrorystom, lecz przeciwko sędziom, prokuratorom, samorządowcom, politykom, politykom opozycji w czasie komisji wyborczej (...) Komisja nie kwestionuje potrzeby wyposażenia polskich służb w najnowocześniejsze narzędzia. Komisja kwestionuje natomiast to, że państwo zostało w tej sprawie potraktowane jak prywatny folwark – mówiła Magdalena Sroka.

Wielu prawników, ale też byłych oficerów służb specjalnych, zanim jeszcze komisja zaczęła swoje prace, podkreślało także, że w ustawowych granicach kontroli operacyjnej nie mieści się wykorzystywanie oprogramowania Pegasus. Pegasus jest bowiem narzędziem szpiegowskim umożliwiającym totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, przejmuje właściwie całą jego zawartości: zdjęcia, nagrania wideo, e-maile, SMS-y, listę kontaktów. Pegasus śledzi lokację smartfona, nagrywa jego otoczenie w wersji audio oraz wideo, podsłuchuje szyfrowaną transmisję dźwięku oraz odczytuje zaszyfrowane wiadomości z różnorodnych aplikacji na urządzeniu. Umożliwia nieograniczone śledzenie w czasie rzeczywistym lokacji aparatu w czasie prowadzonej kontroli, pozwala też na zainfekowanie telefonu oprogramowaniem inwazyjnym.

Tak swoją drogą, kiedy sprawa ujrzała światło dzienne, „The Washington Post" pokusił się o porównanie sytuacji w Polsce do afery Watergate, która zakończyła prezydenturę Richarda Nixona.

Dane trafiały do Izraela

Posłowie komisji ustalili, że decyzja o zakupie Pegasusa zapadła w porozumieniu Ministerstwa Sprawiedliwości pod rządami Zbigniewa Ziobry i pionu służb specjalnych nadzorowanych przez Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Na zakup systemu rząd wydał 33,4 mln zł, z czego 25 mln zł pochodziło z Funduszu Sprawiedliwości. Co najmniej jeszcze raz tyle państwo polskie zapłaciło za późniejszą eksploatacje Pegasusa.

– Komisja ustaliła rzecz, którą poprzednia władza przez lata ukrywała. Państwo polskie nigdy nie miało pełnej kontroli nad systemem. Pegasus nie działał lokalnie w serwerowni CBA. Działał przez sieć anonimizującą producenta oprogramowania rozmieszczoną w różnych miejscach świata, przez którą przechodziły dane pobierane z telefonów polskich obywateli – tłumaczyła posłanka Sroka.

Eksperci potwierdzili, że pełną kontrolę nad Pegausem miał producent oprogramowania, a nie polskie służby. Dane przesyłane za pośrednictwem systemu opuszczały terytorium Polski. Specjaliści zidentyfikowali zagraniczne adresy, które były elementem komunikacji i potwierdzili, że dane zbierane przez system w toku inwigilacji mogły trafiać do Izraela.

– Producent oprogramowania, izraelska firma NSO Group, miała pełen dostęp do danych pozyskiwanych przy realizacji kontroli operacyjnej (...) Dane polskich sędziów, prokuratorów, adwokatów, samorządowców, polityków, polityków opozycji były w rękach zagranicznej firmy – przekazała przewodnicząca.

Posiedzenie sejmowej komisji śledczej ds. Pegasusa poprzedził komunikat Prokuratury Krajowej, prezentujący opinię biegłych Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

„Z opinii biegłych wynika, że system Pegasus umożliwiał pozyskiwanie szerokiego zakresu danych z urządzeń mobilnych bez wiedzy i zgody ich użytkowników. Biegli ustalili również, że CBA nie miało pełnej kontroli nad funkcjonowaniem systemu, producent oprogramowania mógł uzyskać dostęp do infrastruktury, na której przetwarzano i przechowywano materiały z kontroli operacyjnych, a dane przesyłane przez system opuszczały terytorium Polski" – czytamy w oświadczeniu.

Broń do walki wewnętrznej

Do ustaleń śledczych i opinii biegłych odniósł się premier Donald Tusk, wykorzystanie systemu Pegasus za czasów rządów Prawa i Sprawiedliwości nazwał „zbrodnią stanu". – Ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo państwa oddali w ręce obcego państwa, Izraela, dziesiątki tysięcy danych wrażliwych obywateli, nie mając nad tym żadnej kontroli. To już nie jest skandal, tak naprawdę, i chyba dla każdego to jest jasne, mówimy o zbrodni stanu i za to będą odpowiadać – powiedział premier w nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych. – Zapłaciliśmy za to ponad 60 mln złotych, z tego 25 mln z Funduszu Sprawiedliwości. Te pieniądze miały iść na ofiary przestępstw, a wydali to na totalne oprzyrządowanie cybernetycznej inwigilacji. Podpisali umowę, w której zapłacili Izraelowi, firmie z Izraela, ponad 30 mln złotych za to narzędzie inwigilacji, śledzenia, podsłuchiwania, podglądania, nad którym de facto nie mieli kontroli, bo kontrola pozostawała w rękach Izraela i firmy izraelskiej – stwierdził Donald Tusk.

Politycy koalicji rządzącej, wówczas opozycji, nie mają wątpliwości: Pegasus służył politykom Zjednoczonej Prawicy do walki wewnętrznej. Był bronią skierowaną przeciwko opozycji, ale nie tylko, bo inwigilowani nim byli prawnicy, samorządowcy – osoby niewygodne dla władzy.

eprasa.pl c2b087826f

STOPKLATKA

FOT. PAP/MARCIN OBARA

↑ Ta chwila wzbudziła najwięcej kontrowersji. Maciej Berek złożył ślubowanie na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Świadkami byli marszałkowie Senatu i Sejmu: Małgorzata Kidawa-Błońska i Włodzimierz Czarzasty. Ustawa mówi, że ślubowania się dokonuje „wobec prezydenta", którego w Sejmie nie było. Karol Nawrocki zaznaczył, że Berka za sędziego TK nie uznaje

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

↑ Tryb, w jakim przyjęto ślubowanie od Berka, sprawił, że natychmiast eskalował spór czysto polityczny. Pod TK zebrali się przeciwnicy obecnej koalicji rządzącej, by protestować przeciw tej decyzji. Wspierali ich politycy opozycji. Doszło do przepychanek z policją. A przewodniczący TK Bogdan Święczkowski nie dopuścił Berka do orzekania

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

→ Huti z Jemenu ostrzelali główne lotnisko w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej. Zginęło kilkanaście osób. To kolejna faza trwającego od końca lutego konfliktu wokół Iranu. W tym tygodniu doszło też do intensyfikacji uderzeń na tankowce przepływające przez Cieśninę Ormuz. Baryłka ropy od kilku dni znowu kosztuje powyżej 100 dolarów

FOT. PAP/EPA/CRISTOBAL HERRERA-ULASHKEVICH

← Najsłynniejszy piłkarz świata Lionel Messi przygotowuje się do życia po zakończeniu kariery. Właśnie pojawiła się informacja, że w polskiej stoczni kupił luksusowy katamaran ULTIMA 88. 27-metrowa łódź będzie na co dzień na Balearach

eprasa.pl c2b087826f

ATAKI W SZKOŁACH

Dr Aleksandra Piotrowska: Szkoła nigdy nie była miejscem w stu procentach bezpiecznym, nie jest nim dzisiaj i nigdy się nim nie stanie

Wręczamy dzieciom smartfony i oczekujemy, że nie będą zawracały nam głowy. Potem martwimy się tym, co oglądają, czego słuchają i jak się zachowują – mówi dr Aleksandra Piotrowska i pyta, czego potrzebnego do rozwoju dzieci od nas nie dostają

Anita Czupryn

FOT. PAP/ART SERVICE

Dr Aleksandra Piotrowska: Wnętrze szkoły nie powinno być publicznie dostępne dla każdego, kto chciałby tam wejść. Natomiast to nie rozwiązuje sprawy

Kiedy dziecko mówi rano: „Nie pójdę do szkoły, bo się boję" albo pyta: „Mamo, czy mnie też ktoś może w szkole zabić?", jak odpowiedzieć, żeby nie kłamać, ale i nie przerazić?

Przede wszystkim odpowiadajmy bardzo spokojnie. Rodzice powinni wcześniej, bez udziału dziecka, przećwiczyć taką rozmowę. Na szczęście tego rodzaju pytania pojawiają się niebywale rzadko, ale warto zastanowić się we dwójkę, albo z przyjaciółką czy z matką dziecka w podobnym wieku, o co dzieci mogą pytać i jak im odpowiadać. Jeśli rozważymy to na chłodno, zwiększamy szansę, że zapanujemy nad własnymi emocjami, kiedy pytanie rzeczywiście padnie. Nie można wykluczyć, że rodzic wpadnie w panikę, zaczną mu się trząść ręce. To najgorsza sytuacja, bo jego zachowanie wzbudzi w dziecku dodatkowy lęk. Wtedy trzeba choćby natychmiast poprosić drugiego rodzica, żeby nas zastąpił. A więc przede wszystkim spokój. Nie tylko udziela się on dziecku, ale jest też dla niego informacją, że chyba nie jest tak dramatycznie, jak mogłoby się wydawać. Jeśli dziecko pyta: „Czy ja też mogę zginąć? Czy mnie też mogą zabić?", należy powiedzieć, że dzieci w Polsce są miliony, a takie przypadki krzywdy w szkole są naprawdę wyjątkowe, zdarzają się niewiarygodnie rzadko. Można przekierować jego uwagę na ruch samochodowy i powiedzieć, że znacznie więcej dzieci ginie w wypadkach drogowych. Czy to znaczy, że mamy nie wsiadać do samochodu? Chodzi o oswojenie dziecka z tym, że nigdy nie będziemy mieć stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa, ale wszyscy dorośli robią, co tylko możliwe, żeby było bezpieczne i tak się czuło. Natomiast zdecydowanie rodzice nie powinni zgadzać się na to, żeby dziecko nie poszło do szkoły.

Jednak znaleźli się tacy rodzice, którzy w ostatni piątek nie posłali dzieci do szkoły.

Niestety, bardzo źle zrobili. Przekazali dzieciom komunikat, że jest się czego bać, a sami ulegli plotkom i panice. Wiem, że mamy różną odporność na wpływy społeczne. Są wśród nas osoby, które bardzo łatwo ulegają sensacyjnym wieściom, niekoniecznie zaczerpniętym z internetu. Internet jest jednak narzędziem wyjątkowo skutecznie wywołującym tego rodzaju histerię, bo tak należy to nazwać. Pamięta pani panikę sprzed kilku lat wokół „Niebieskiego wieloryba"? Opowieści o wyzwaniach przekazywanych przez internet, wyssane z palca wieści, które nie odpowiadały rzeczywistości, a rodzice chętnie podawali je dalej. Nie dajmy się sami zwariować. Wtedy będziemy mogli zapanować nad lękiem dzieci.

Jak rozpoznać, czy dziecko boi się tego, co usłyszało, czy czegoś, co rzeczywiście dzieje się w jego szkole, ale o czym nam nie mówi?

Ma pani na myśli na przykład przemoc rówieśniczą?

Tak.

To nie jest coś, co pojawia się nagle, jednego dnia. Ma charakter ciągły, powtarzalny. Praktycznie nie ma możliwości, żeby zachowanie dziecka, które doświadcza takiej przemocy i się jej boi, nie uległo zmianie. Po prostu obserwujmy swoje dziecko. Jeśli z dnia na dzień milknie, przestaje opowiadać o tym, co się dzieje, choć wcześniej robiło to naturalnie, jeśli wyraźnie opiera się naszym pytaniom, powinno nam to podpowiedzieć, że jego obawy mają realne podstawy. Oczywiście chodzi o pytania życzliwe, a nie pytania śledczego, który chce wymusić zeznania. Tyle że wielu rodziców nie potrafi odróżnić zmian zachowania związanych z dojrzewaniem, wejściem w nowy etap rozwoju, od zmian wywołanych pojawieniem się zagrożeń w życiu dziecka. To nie jest łatwe. Spotykam się z przypadkami, kiedy rodzic nie reaguje i nie podejmuje działań, choć powinien, bo jest przekonany, że wszystko wynika z dojrzewania: „Dlatego dziecko cuduje". Nie są to sprawy oczywiste ani w każdym przypadku łatwe do rozróżnienia.

Po ostatnich wydarzeniach szkoły zaostrzają zasady: kontrolują wejścia, wprowadzają identyfikatory. Czy to właściwy kierunek? I czego nie da się załatwić nawet najlepiej pilnowanymi drzwiami?

To, że drzwi szkoły są pilnowane, jest jak najbardziej w porządku. Wnętrze szkoły nie powinno być publicznie dostępne dla każdego, kto chciałby tam wejść. Natomiast to nie rozwiązuje sprawy. Eliminuje pewien rodzaj zagrożeń. Ale co zrobicie z uczniami szkoły, którzy mają pełne prawo się w niej znaleźć, a z ich strony także mogą się pojawić i, jak wiemy, pojawiają się, niebezpieczne zachowania? Pilnowanie wejścia jest jak najbardziej wskazane, lecz nie usunie wszystkich problemów. Myślę, że bardzo ważne jest prowadzenie z dziećmi stałych rozmów, niemających charakteru akcyjnego. Absurdalne jest to, co niestety, wiem, będzie teraz miało miejsce w większości szkół: po tych wydarzeniach ruszy wychowawcza akcja, taśmowo będą organizowane godziny wychowawcze, które następnie zostaną odhaczone: „Uff, zrealizowaliśmy, już to z dziećmi zrobiliśmy". Nie o to chodzi. Trzeba, nie wzbudzając nieufności do wszystkich i wszystkiego wokół, uświadamiać dzieciom, że mają moc sprawczą i same w dużej mierze mogą zadbać o swoje bezpieczeństwo, choćby uważnie

eprasa.pl c2b087826f

obserwując otoczenie. To jest narzędzie, w które powinniśmy dzieci wyposażać; uczyć je, na co warto zwracać uwagę. Jeśli ktoś w powtarzalny sposób zapowiada, że zrobi coś złego, nie wolno zakładać, że się wygłupia, że robi sobie ze wszystkich bekę. Co setna czy co tysięczna taka sytuacja może być naprawdę groźna.

Dzieci słyszą: „Zgłaszajcie każdą groźbę". Co powinni zrobić dorośli, żeby potem dziecko nie zostało samo z łatką donosiciela?

Wydaje mi się, że czym innym jest naskarżyć na Kubę, że pokłócił się z Romkiem albo używa brzydkich wyrazów. To bez wątpienia skarżenie. Natomiast jeśli zachowania, o których zastanawiamy się, czy powiedzieć dorosłym, wzbudzają w nas, także w dzieciach, poczucie, że coś jest nie tak, że to chyba jest groźne i niepokojące, chodzi o zupełnie inną sytuację. Naprawdę, tam, gdzie chodzi o dbanie o bezpieczeństwo i zapobieganie takim zdarzeniom, nie ma mowy o oskarżaniu kogoś o kablowanie czy przypinaniu mu łatki szpicla. To zupełnie co innego i trzeba z dziećmi o tym rozmawiać.

A jeśli dzieci zaczną same szukać „podejrzanego" i znajdą go w cichym, nielubianym, samotnym koledze?

Dlatego trzeba rozmawiać z nimi w odpowiedni sposób. To nie kwestia jednej godziny wychowawczej, tylko procesu wychowawczego rozciągniętego na lata. Inny od nas nie znaczy niebezpieczny. A ktoś niebezpieczny może się znaleźć także wśród osób bardzo do nas podobnych. Trzeba zwracać uwagę, że prześladowanie dzieci ze względu na ubiór, pochodzenie, religię czy brak przynależności religijnej jest nierozsądne, prymitywne i po prostu fatalne. Tego człowiek powinien się wstydzić, a nie tego, że zaniepokojony wszczyna alarm, który potem okazuje się niepotrzebny. Lepiej pięć razy dmuchać na zimne.

Na internetowych grupach rodziców pojawiają się komunikaty: „Podobno nasza szkoła będzie następna". Jak zatrzymać strach podsycany przez samych dorosłych?

Natychmiast dopisać: „Nie pleć bzdur, puknij się w głowę". Zdecydowanie dać odpór. Minimum, które powinniśmy zrobić w takiej sytuacji, to nie przekazywać tej wiadomości dalej. Myślę jednak, że trzeba wyraźnie powiedzieć autorowi, że przyczynia się do siania paniki. Nic nie poradzimy na to, że są ludzie, którzy czują się ważniejsi, kiedy mają coś do powiedzenia o takich dramatach. Tak zawsze było, jest i będzie. Niestety w czasach internetu są wyjątkowo głośni i łatwo słyszalni.

Jak powinien wyglądać pierwszy dzień po powrocie do szkoły, w której doszło do ataku?

Na pewno nie powinien polegać na powtórce materiału czy kartkówce z ostatnich lekcji. Są sytuacje, w których przekazywanie wiedzy i sprawdzanie, czy została przyswojona, staje się najmniej ważne. Nauczyciele powinni w tych dniach przede wszystkim rozmawiać z uczniami. Nie wygłaszać wykładów, tylko pytać, co wiedzą o tych wydarzeniach, co myślą, jakie są ich odczucia. Dzielić się własnymi wątpliwościami, własnymi niejasnościami. To ma być rozmowa wyciszająca i uspokajająca, a nie straszenie czy odczytywanie z kartki kolejnych zaplanowanych punktów. Dopiero potem można zapytać: „No jak tam, możemy przejść do rachunków, geografii czy innych mądrości?". I nie mieć poczucia, że marnujemy czas, bo nie koncentrujemy się na dydaktyce. Jak mówię, są sytuacje, kiedy ona jest najmniej ważna.

Po atakach nożowników wróciło hasło: „Dawniej dzieci miały respekt wobec dorosłych i nauczycieli".

Tak, a dziewczynki nosiły dłuższe spódniczki. Oczywiście rzeczywistość się zmieniła. Ani nauczyciel, ani większość rodziców nie jest dziś automatycznie autorytetem. Żyjemy w innym świecie niż kiedyś i trzeba się do niego przystosowywać. To, co uważamy za bardzo złe i co możemy zmienić, powinniśmy zmieniać. Pewnych zmian nie da się jednak zanegować. Chociażby obecność internetu dostępnego przez całą dobę sprawia, że wiele sposobów postępowania skutecznych przed pięćdziesięcioma laty jest dzisiaj, mówiąc wprost, do bani. Do niczego się nie nadają.

Pojawiają się też wezwania do twardego wychowania, nawet do bicia. Dlaczego w odpowiedzi na przemoc część dorosłych domaga się przemocy?

Bardzo popularna wśród nas, dorosłych, jest wiara, że wszystko można zwalczyć odpowiednio dotkliwymi karami. I tych ludzi nie przekonają nawet tysiące badań dowodzących, że kara wywołuje tylko pozorną zmianę zachowania, trwającą tak długo, jak długo obok jest źródło kary. Dotarły do mnie informacje, że były minister Piontkowski także wygłaszał opinie, według których wszystko to dzieje się dlatego, że ginie tradycyjna rodzina i odrzucane są tradycyjne wartości. Jakoby w takiej rodzinie dzieci nie robiły nic złego. Przecież to absurd i nieprawda. Nie wolno przyjmować takich banialuk. Fatalnie zdarza się postępować zarówno dzieciom wychowywanym w bardzo tradycyjnych rodzinach, jak i w tych, które wychowują je zupełnie inaczej. Nie ma też większego znaczenia kondycja materialna rodziny. Niektórzy są przekonani, że takie zachowania zdarzają się tylko tam, gdzie jest bieda. To oczywiście również bzdura.

Jak zadbać o nauczycieli i pracowników szkoły, którzy sami się boją, a mają dawać dzieciom oparcie i poczucie bezpieczeństwa?

Przecież też są ludźmi i mają prawo odczuwać strach. Tym bardziej że w większości tych ataków ofiarami są przede wszystkim pracownicy szkół. Od podstawówki po uniwersytet i myślę również o tym, co wydarzyło się na naszym Uniwersytecie Warszawskim. Powinniśmy przede wszystkim dążyć do przywrócenia współpracy rodziców i nauczycieli. Znów: nie załatwimy tego jednym zebraniem czy jedną ustawą. W ciągu ostatnich, powiedzmy, dwudziestu lat wydarzyło się coś fatalnego: rodzice przestali postrzegać nauczycieli jako swoich współpracowników. A przecież jedni i drudzy w większości dążą do tych samych celów. Niestety żyjemy w czasach, kiedy głupota i chamstwo są o wiele wyraźniej słyszane niż rozsądek i mądrość. Docierają więc do ogromnej liczby ludzi. Ten denializm, odrzucanie wyników solidnych badań przyczynia się do powrotu chorób, z którymi, jak sądziliśmy, poradziliśmy sobie dzięki szczepieniom. Dzisiaj nie szczepimy dzieci. Proszę zobaczyć, jak łatwo zyskują popularność takie, za przeproszeniem, pierdoły o tym, że szczepionki bardzo szkodzą rozwojowi dzieci. Taka jest niestety rzeczywistość.

Dziecko, które krzywdzi innych, powinno wiedzieć, że poniesie konsekwencje. Można postawić mu granicę, ale jak jednocześnie dać pewność, że nie zostanie bez pomocy?

Zawsze warto zadać sobie pytanie: dlaczego krzywdzi? Poza najprostszymi odruchami człowiek podejmuje zachowania, które są czymś umotywowane, do czegoś zmierzają. Warto więc zapytać, czego z rzeczy bardzo potrzebnych do normalnego rozwoju to dziecko od nas nie dostaje. Zadziwia mnie, jak bardzo martwimy się tym, że dzieci siedzą w internecie, oglądają bzdury zamulające mózg, słuchają piosenek, których teksty jeżą włos na głowie. To nie jest hip-hop, to jest patohip-hop. I tym się tak bardzo martwimy, a nie zwracamy uwagi na to, co robią dorośli. Oni słuchają tych samych bzdur, może nie hip-hopu, może innych piosenek, ale o bardzo wątpliwej jakości i naprawdę skandalicznych tekstach. Oni też bezpowrotnie marnują mnóstwo swojego czasu, który mogliby poświęcić dzieciom. Ale jakież to przyjemne wręczyć dziecku smartfonik z dostępem do sieci i następnie, bo przecież większość dzieci ma dzisiaj własne pokoje, oczekiwać, że nie będzie człowiekowi zawracało głowy. To jest dzisiejsza rzeczywistość wychowawcza. Dlatego o dzieciach, które są sprawcami takich strasznych zachowań i zdarzeń, myślę zawsze zarówno w kategoriach sprawców, jak i ofiar. Ofiar braku takich doświadczeń, które powinny nauczyć je pewnych norm i zasad postępowania. Pyta pani o stawianie granic. Najpierw, bardzo przepraszam, trzeba przekazywać dzieciom normy i zasady funkcjonowania. Przy tej okazji kategorycznie rozróżniać to, co absolutnie niedopuszczalne, od tego, co nie jest najmądrzejsze, ale od biedy może się czasem zdarzyć. Jeśli dziecko czasem pójdzie spać bez umycia zębów, to nie jest fajne, ale akurat tutaj nie stawiałabym bezwarunkowej granicy. Krzywdzenie innych natomiast jest absolutnie niedopuszczalne. Kropka. Dziecko musi od najmłodszych lat, od czasu, kiedy ma dwa, trzy lata, uczyć się, że określone zachowania wywołują określone konsekwencje. Tyle dzisiaj mówimy o sprawczości – uświadamiajmy ją dzieciom od najmłodszych lat. Muszą doświadczać konsekwencji swoich zachowań, bo inaczej nie nauczą się, że są granice, których nie wolno przekraczać.

Niedawno rozmawiałam z Alkiem Korabem, autorem książki „Chory (k)raj. Jak naprawdę żyje się w Ameryce", który mieszka w Nowym Jorku. Opowiadał, że w USA dzieci wcześniej niż tabliczki mnożenia uczą się barykadować w szkole, zastawiać wejście ławkami. Trwa też debata, czy nauczyciel powinien mieć w szufladzie broń. Założenie jest takie: na przemoc złych ludzi powinni odpowiedzieć przemocą dobrzy ludzie.

To właśnie dlatego Ameryka jest chorym krajem. Ze względu na takie myślenie mają wielokrotnie więcej niż w naszym kręgu problemów z różnymi rodzajami agresji, także wśród dzieci i podejmowanej przez dzieci. Mam nadzieję, że nigdy nie kupimy tej koncepcji. Choć kiedy słyszę głosy, że dla mojego bezpieczeństwa niezbędne jest ułatwienie dostępu do broni, ciarki mnie przechodzą.

Co rodzice i szkoła mogą zrobić jutro, żeby dzieci szły na lekcje z większym spokojem?

Z dnia na dzień niczego nie da się zreperować. Tak jak psuło się latami, kiedy nie wyposażaliśmy dzieci w systemy norm i zasad postępowania, tak teraz przez długi czas trzeba będzie próbować sobie z tym radzić. Chyba że uznamy, iż prościej będzie wyposażyć nauczycieli w pistolety.

Kiedy uznamy, że szkoła odzyskała poczucie bezpieczeństwa?

Myślę, że szkoła nigdy nie była miejscem w stu procentach bezpiecznym, nie jest nim dzisiaj i nigdy się nim nie stanie. Nie da stuprocentowej pewności, że naszego dziecka nie spotka tam nic złego. Bardzo ważne jest natomiast, żeby cały personel szkoły, a także dzieci, byli przekonani, że każde zachowanie agresywne, każda przemoc wobec innych zostanie zauważona i będzie miała konsekwencje. Kiedy słyszę o niektórych przypadkach albo sama się z nimi stykam, proszę mi wierzyć, zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze jest sens wykonywać mój zawód. Mam na myśli sytuacje, w których rodzice agresora krzywdzącego innych sprowadzają dobrze opłacanych prawników, którzy mają udowodnić i udowadniają, że ich dziecko zostało niesłusznie oskarżone, napiętnowane, że przeżywa niesamowitą traumę, a ofiary właściwie powinny pokornie prosić o przebaczenie. Takie sytuacje wciąż się zdarzają. Bo, jak dobrze wiemy, najgorzej, kiedy głupek i cham zaczyna dysponować pieniędzmi i władzą.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Piotrowska

Doktor psychologii. Pracownik naukowy Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego i Wyższej Szkoły Pedagogicznej ZNP w Warszawie. Współpracuje jako społeczny doradca z Rzecznikiem Praw Dziecka i Komitetem Ochrony Praw Dziecka.

eprasa.pl c2b087826f

EDUKACJA I PRAWO

Szkolna nożycjada - dlaczego właściwie dziwi nas ta przemoc

Po udaremnionym ataku w Książkach i zabójstwie w Leszczydole wróciły propozycje instalowania bramek i zatrudniania ochroniarzy w polskich szkołach. Dyskusja o bezpieczeństwie odsłoniła problemy, o których pedagodzy mówili od lat. Ale nikt nie chciał ich słuchać

Adam Willma

Po udaremnionym ataku w Książkach i zabójstwie w Leszczydole wróciły propozycje instalowania bramek i zatrudniania ochroniarzy w polskich szkołach. Dyskusja o bezpieczeństwie odsłoniła problemy, o których pedagodzy mówili od lat. Ale nikt nie chciał ich słuchać.

28 września policyjny najazd na dom trzynastolatka z Zaskocza uchronił szkołę w Książkach przed dramatem. Ale już niespełna dwa tygodnie później nie udało się - dziewiętnastolatek zaatakował w Ostrołęce, raniąc dziewięć osób w szkole i jej otoczeniu. Następnego dnia piętnastoletni były uczeń podstawówki w Leszczydole-Nowinach pod Wyszkowem zaatakował pracowników placówki - zginęła 37-letnia woźna, a dyrektor i nauczyciel zostali ranni.

Wokół szkół pojawiły się dodatkowe patrole, powróciły pomysły sprawdzania plecaków, a w kilku miastach (w tym w Inowrocławiu) ruszyły inicjatywy instalowania bramek przy wejściu do szkół.

FOT. ADAM WILLMA

Tego rodzaju akcje są bardzo potrzebne, ale żeby rozwiązać problem przemocy wśród młodych ludzi, trzeba zrobić znacznie więcej

Kara za otwarcie plecaka

We Francji dyskusja o bezpieczeństwie zaostrzyła się po ataku w Nantes, gdzie 24 kwietnia 2025 roku uczeń liceum zabił koleżankę i zranił trzy inne osoby, oraz po zabójstwie 31-letniej pracownicy szkoły w Nogent 10 czerwca. W drugim przypadku nastolatek zaatakował podczas kontroli toreb. Francuski resort edukacji podsumował, że tylko w ciągu jednego roku szkolnego, podczas 6257 kontroli przy szkołach przejęto 364 sztuki broni białej. Służby zostały zobowiązane do prowadzenia regularnych kontroli, a władze zapowiedziały utworzenie 150 stanowisk głównych doradców wychowawczych i 600 stanowisk asystentów edukacyjnych. Program obejmuje również procedury dotyczące zdrowia psychicznego i przeciwdziałanie nękaniu.

Brytyjskie przepisy pozwalają dyrektorowi i upoważnionym pracownikom szkoły przeszukać ucznia lub jego rzeczy, a szkoły mogą stosować wykrywacze metalu. Najnowsze wytyczne przypominają o możliwości użycia przez pracowników szkoły siły, jeśli w ten sposób można zapobiec zranieniu, popełnieniu przestępstwa, niszczeniu mienia czy zakłócaniu porządku.

W Polsce brak podobnych uprawnień stał się przedmiotem politycznych deklaracji dopiero po ostatnich atakach. Do dziś przeszukanie plecaka ucznia grozi nauczycielowi dyscyplinarką z powodu „przekroczenia kompetencji". Dmuchając na zimne, Sławomir Broniarz, prezes ZNP, przestrzega, że przeszukiwanie plecaków „wykracza poza zadania nauczycieli, którym już teraz powierza się zbyt wiele czynności niezwiązanych bezpośrednio z nauczaniem i wychowaniem".

Drzwi do frustracji

Argumentacja Broniarza jest częściowo uzasadniona - już dziś coraz trudniej pozyskiwać do zawodu nowych kandydatów, a oczekiwania wobec szkoły obejmują kolejne dziedziny życia dziecka.

W kontekście brutalnych ataków, trudno zresztą wyobrazić sobie, w jaki sposób nauczyciele mieliby im przeciwdziałać. Tym bardziej, że zawód nauczyciela został niemal całkowicie sfeminizowany - kobiety stanowią dziś 88 proc. nauczycieli w podstawówkach. Feminizacja zawodu jest zresztą zjawiskiem europejskim: w szkołach podstawowych i średnich całej Unii kobiety zajmowały 72,9 proc. stanowisk nauczycielskich. Do tego nauczyciele przed trzydziestką stanowią zaledwie 4 proc. zatrudnionych w szkołach podstawowych i średnich. To jeden z najniższych wskaźników w Unii.

Do tego zapewnienia bezpieczeństwa polskim dzieciom oczekujemy od jednej z najbardziej sfrustrowanych grup zawodowych. Tylko 10 proc. polskich nauczycieli ma poczucie, że ich zawód jest ceniony w społeczeństwie (wobec średnio 22 proc. w Europie).

Pod presją rodziców

Jeśli do obowiązku realizacji programu, rozpoznawania problemów i współpracy z rodziną dorzucimy nauczycielom obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa, rodzi się pytanie - jakie mają do tego narzędzia. Bo kolejne reformy coraz bardziej ograniczały zawodową samodzielność nauczycieli, wpychając ich w gąszcz procedur. W badaniu z 2024 aż 44 proc. nauczycieli przyznało, że sprawy zgłaszane przez rodziców stanowią dla nich źródło stresu. Podobny odsetek jako źródło stresu wskazywał nadmiar pracy administracyjnej.

Rodzicielska kontrola miała w założeniu ujawniać błędy szkoły i chronić dziecko przed niewłaściwym traktowaniem. W praktyce coraz częściej próba wyegzekwowania zasad wywołuje protesty części rodziców. Mirosław Kwiatkowski, wieloletni wychowawca młodzieży z Torunia, uważa, że nadopiekuńczość utrudnia dzieciom poznawanie skutków własnego postępowania: - Dorosłe życie składa się także z przykrych niespodzianek, którym dzieci mogą kiedyś nie sprostać. A powinny wiedzieć, że jeżeli ktoś się nie uczy, zabiera innym zabawki, bije rówieśników albo przeszkadza w zajęciach, poniesie konsekwencje. I nie będą one miłe. Szkoła powinna w miarę możliwości współpracować z rodzicami, ale nie zastępować ich w realizacji rodzicielskich obowiązków.

Zatopieni w papierach

Podobnie problem definiuje Dariusz Bąkowski, doświadczony nauczyciel, autor kilku podręczników historii: - Szkoły nie spełniają funkcji wychowawczych. Brakuje czasu, współpraca szkoły z rodzicami jest słaba. Rodzice często oczekują, że szkoła ich zastąpi. W szkołach brakuje pedagogów, a tych, którzy są, pochłania głównie wypełnianie papierów.

W opinii nauczycieli system dokumentowania pracy zniechęca do zajmowania się trudnościami, które powinny jak najwcześniej zwrócić uwagę dorosłych: - Szkoły dusi potworna biurokracja - przekonuje Dariusz Bąkowski. - Lepiej jest nie widzieć problemu, niż go dostrzec, bo to wiąże się z wypełnianiem całej masy dokumentów. Procedur jest tyle, że praktycznie nikt nie zna ich wszystkich. Nasze szkoły to biurokratyczne machiny, w których liczą się minimalizacja kosztów i sprawozdawczość. Ludzie nie są ważni.

Nie tyle internet, co algorytmy

Podczas gdy szkoła poświęca ogrom czasu na karmienie biurokratycznej bestii, znaczna część życia ucznia toczy się w środowisku, o którym dorośli nie mają pojęcia. Prof. Tomasz Szlendak, socjolog z UMK, uważa, że utrata nadzoru nad tym, co dzieci robią w telefonach, ma poważne konsekwencje wychowawcze. - Rodzice nie mają kontroli nad tym, co dzieje się w telefonach dzieci, a cały świat młodego człowieka jest dziś zapośredniczony przez smartfon. Nie kontroluje tego ani rodzic, ani nauczyciel. Wyzbyliśmy się kontroli nad dzieckiem.

Tymczasem internet skraca drogę do treści związanych z agresją i daje wiedzę ułatwiającą jej zastosowanie. Pokazuje, jak wykonać akt agresji, co zrobić, żeby zdjąć z siebie ciężar stresu, który dopada w szkole. Oferuje gotowe wzorce.

Prof. Szlendak dopuszcza prawne ograniczenia korzystania z mediów społecznościowych przez najmłodszych. Jego zdaniem ewentualna możliwość omijania zakazów nie jest przekonującym argumentem: - Być może zakaz korzystania z mediów społecznościowych do określonego wieku jest nieskuteczny, bo będzie omijany. Ale co z tego, że będzie omijany? Istotne jest, żeby istniało jakieś narzędzie, również prawne, które pozwoli przeciwdziałać wpadaniu dzieci w takie bańki. Ograniczenia technologii albo mediów społecznościowych na pewno wchodzą w grę. Bez tego nie poradzimy sobie z problemem.

Prof. Jacek Pyżalski, pedagog z UAM w Poznaniu, przestrzega jednak przed oczekiwaniem, że ograniczenie dostępu do sieci usunie problemy, z którymi dziecko przychodzi do internetu z domu i szkoły: - Lubimy wskazywać jeden czynnik: internet. Wydaje nam się, że kiedy ograniczymy czas korzystania z niego, będzie cudownie. Ale to nie jest takie proste. W badaniach, w których zestawia się czas korzystania z internetu z negatywnymi wskaźnikami zdrowia psychicznego, te związki są stosunkowo słabe. Dłuższy czas korzystania wiąże się statystycznie z nieco gorszymi wskaźnikami, ale to słabe powiązanie. Wpływa na to między innymi fakt, że z internetu możemy korzystać na bardzo różne sposoby.

Badacz zwraca uwagę na algorytmy, które mogą pogłębiać istniejące już trudności młodego człowieka, dopasowując do nich kolejne materiały: - W naszym badaniu młodzi ludzie, którzy mieli myśli samobójcze, dużo częściej wskazywali, że wyświetlały im się treści o takim charakterze. Można powiedzieć, że to algorytmy zamykały dziecko z problemami w internecie, który te problemy nasilał.

Porządek zewnętrzny

Pyżalski, który od lat bada przemoc rówieśniczą, przestrzega przed ocenianiem całego młodego pokolenia na podstawie kilku drastycznych zdarzeń: - W polskich szkołach mamy pewien rodzaj porządku zewnętrznego. Jednocześnie, kiedy patrzymy na wyniki badań, słabo wypadamy pod względem identyfikacji uczniów ze szkołą, poczucia bycia częścią szkolnej społeczności.

Przestrzeganie regulaminu może więc istnieć równolegle z osamotnieniem i brakiem zaufania do świata dorosłych. Symbolem diabolicznego tryumfu szkolnej biurokracji jest sprawa 15-letniego Harveya Willgoose, który w ubiegłym roku został śmiertelnie ugodzony nożem przez rówieśnika w szkole w Sheffield. Jak wykazali prawnicy rodziny, dokumentacja dotycząca wcześniejszych zachowań napastnika dotarła z jego poprzedniej szkoły, ale nikt jej nie przeczytał. Procedury nie wskazywały wystarczająco jasno kto powinien to zrobić.

©℗

eprasa.pl c2b087826f

MOIM ZDANIEM

ALICJA POLEWSKA
red. nacz. „Gazety Pomorskiej"

Krojenie chleba

Patrzę na nóż. Ten, którym zwykle rozkrawam bochenek żytniego. Wyjęłam go z drewnianego bloku, w którym stoi obok innych; tego małego do warzyw i większego do porcjowania na przykład pieczeni na niedzielny obiad.

Nóż.

Może służyć do otwarcia koperty lub przycięcia tapety w czasie remontu. Albo ścięcia kwiatów w ogrodzie, kiedy zapodział się gdzieś sekator. Zwykłe czynności, a nóż po prostu jest pod ręką.

Jest łatwy do użycia. Schowania – na przykład w rękawie albo między kajetami w plecaku z Myszką Miki. Jeszcze do ubiegłego tygodnia nawet przez myśl by mi nie przeszło, że tak można. Ale lawina ruszyła. A lawina ma to do siebie, że nabiera rozpędu, bo żywi się energią, którą wchłania po drodze.

W poniedziałek kolega napisał: „W sobotę wieczorem tylko przez pół godziny spotkałem dwóch »nożowników«. Pod rondem okrzyki i na płycie rynku to samo. Młodzi kręcą z tego tzw. bekę i jeszcze straszą ludzi". Żartownisie się znaleźli!

A teraz przejdźcie na drugą stronę. Macie kilkanaście lat. W domu – standard albo i nie, ale generalnie wieje nudą zwyczajności: obiad, telewizor, co tam w szkole, pogadamy później, głowa mnie boli, muszę zdążyć z tym raportem... Mówicie sobie: „Moje życie będzie inne" (Co, nie pamiętacie, że tak właśnie myśleliście kiedyś? No proszę! To przecież naturalne, kiedy wchodzi się w dorosłość). Inność to kumple, ale już nie ci na boisku, podwórka czy sekcji judo. W sieci. Mają dziwne fotki czy avatary i nicki; im bardziej pojechane, tym lepiej. Ty też tak robisz. Społeczność zobowiązuje. Zaczynają wrzucać coś dla śmiechu, ot wyzwanie, jakiś przerobiony filmik, cytat, mroczny tekst. Czujesz się wyróżniony, że możesz to oglądać. Jesteś wybrany. Potrzebujesz tej uwagi jak tlenu.

A co Ty zrobisz, żeby świat Cię zauważył?

Idziesz do kuchni. Szykujesz sobie kanapkę. Nóż tak dobrze leży w ręku. Nie myślisz.

Nie, nie wiem, czy to tak działa. Nie wiem, dlaczego tylu młodych ludzi, dzieciaki właściwie, w jednym momencie wpadło na ten sam pomysł. Spiskowych teorii nie brakuje. Za to zdrowego rozsądku – na pewno.

Odkrawam kolejne skibki. Biorę z szuflady inny nóż, do smarowania. Ma okrągły czubek.

Wczoraj do prywatnej szkoły spokojna uczennica, taka z „dobrego domu", przyniosła plastikowy nóż z chowanym ostrzem. – Przecież nie chciałam nikogo skrzywdzić! To tylko tak miało być, dla śmiechu – tłumaczyła się ze łzami.

Ta lawina już hamuje, jeszcze trochę i się zupełnie zatrzyma. Zostanie osad. Strach. Nerwowe zerkanie przez ramię. Coraz mniej policji przed szkołami. Pójdziemy dalej w codzienność. Na jak długo?

Nóż wróci do szuflady. Gdzie jego miejsce.

Z CZEGO JUTRO ...?

ANDRZEJ SADOWSKI
Centrum im. Adama Smitha

List do premiera Estonii w sprawie pomocy władzom w Polsce w cyberbezpieczeństwie

Jego Ekscelencja Pan Kristen Michal,
Premier Republiki Estońskiej

Podczas uroczystego posiedzenia Senatu SGH, inaugurującego rok akademicki 2026/2027 i 120-lecie uczelni, wykład wygłosił wicepremier rządu w Polsce zaczynając od przypomnienia serii cyberataków, które wiosną 2007 r. przez około trzy tygodnie poważnie zakłócały funkcjonowanie estońskich stron rządowych, banków i mediów. Zgromadzeni nie usłyszeli jednak odpowiedzi na pytanie, które pozwalam sobie skierować do Pana: dlaczego Estonia zaatakowana prawie dwie dekady temu jest dziś wzorem odporności? W Polsce, w której w ostatnich tygodniach wykradziono dane milionów obywateli oraz tysięcy firm i ich kontrahentów nie doszło w tym samym czasie do zmiany paradygmatu funkcjonowania państwa.

Pana zaś państwo jest powszechnie uznawane za jedno z najbardziej rozwiniętych cyfrowo na świecie, w którym autorska technologia KSI Blockchain stanowi kręgosłup bezpieczeństwa cyfrowego ekosystemu e-Estonia. Zamiast przechowywać ogromne bazy danych bezpośrednio w łańcuchu bloków, rząd generuje kryptograficzne „odciski palców" danych. Żaden urzędnik, cyberprzestępca ani wróg nie jest w stanie wstecznie zmienić ani jednego wpisu w rejestrach publicznych bez natychmiastowego wykrycia. Zmiana paradygmatu nie leży w samej technologii, lecz w architekturze instytucji, którą państwo polskie powinno przejąć od Estonii.

Najbardziej uderzający jest w Estonii brak centralnej bazy. X-Road jest rozproszoną warstwą wymiany danych opartą na szyfrowaniu i podpisach cyfrowych, łącząca rejestry, ale bez tworzenia zbiorczej bazy. W Polsce natomiast latami tworzono coraz większe i bardziej scentralizowane bazy, na których budowano budżety i prestiż urzędów.

W Estonii obywatel kontroluje państwo w dostępie do swoich danych, bowiem po zalogowaniu się do rządowego portalu ma dostęp do narzędzia Data Tracker, w którym widzi każdą próbę wyświetlenia jego danych przez dowolnego urzędnika, policjanta czy lekarza, a nieuzasadnione przez nich sprawdzanie jego danych ma konsekwencje. Obywatel Polski dowiaduje się o wycieku swoich danych z mediów, po czym minister radzi mu, aby sam zastrzegł numer PESEL, który przez lata bywał traktowany przez instytucje i firmy niemal jak środek potwierdzania tożsamości, choć jest jedynie identyfikatorem.

Niespotykane jest zagwarantowanie ciągłości działalności państwa estońskiego. Kopie kluczowych rejestrów, w tym kopie aktów własności przechowujecie w „ambasadzie danych" w Luksemburgu, objętej ochroną i nietykalnością wzorowaną na statusie placówek dyplomatycznych. W Polsce nie ma decyzji o wdrożeniu takiego rozwiązania chociaż rządowa rada je zarekomendowała w sytuacji, gdzie na wschodniej flance NATO ryzyka dla obu państw są podobne.

Godne podziwu jest zaangażowanie obywateli w obronie państwa. Cyberjednostka Kaitseliitu skupia ochotników informatyków z banków i firm, którzy w razie ataku wspierają państwo estońskie.

Pozostaje pytanie, jak szybko można skopiować i implementować rozwiązania Estonii? Oprogramowanie X-Road jest otwarte i bezpłatne, rozwija je Nordycki Instytut Rozwiązań Interoperacyjnych (NIIS), do którego obok Estonii należą Finlandia i Islandia. Polska mogłaby złożyć do niego akces. Ustawę o odpowiedzialności urzędów za wycieki, o prawie obywatela do wglądu w historię dostępu do swoich danych czy o i-votingu, z którego w 2023 r. skorzystało ponad 51 proc. wyborców w Estonii, Sejm może uchwalić w tej kadencji.

Dlatego proszę Pana o pomoc w przyjęciu polskich zespołów na staże – nie wizyty studyjne – w estońskim Urzędzie Systemów Informacyjnych (RIA), o ocenę polskich rejestrów publicznych przez specjalistów, którzy pamiętają rok 2007 i wreszcie o poparcie przystąpienia Polski do NIIS.

Estonia po 2007 nie zbudowała murów, za to stworzyła lepsze państwo, które dla obywatela dzięki technologii jest transparentne i zapewnia mu według rankingu Instytutu Frasera najwięcej wolności gospodarczej wśród państw europejskich, w których dekady temu stacjonowały wojska Związku Sowieckiego. Proszę o podzielenie się z Polską rozwiązaniami, bo rządzący nami wykorzystali jedynie estoński CIT.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

Radosław Sikorski: Maciej Berek został prawidłowo wybrany przez Sejm, więc jest sędzią TK, a prezydent Karol Nawrocki nie odziedziczył korony, więc nie jest Królem-Słońce

FOT. ADAM JANKOWSKI

eprasa.pl c2b087826f

SPOŁECZEŃSTWO I TECHNOLOGIA

Prof. Frey: Sztuczna inteligencja to szansa na ożywienie gospodarki. Ale nie ma gwarancji, że tak się stanie

– Dziś największe zagrożenie związane ze sztuczną inteligencją to fakt, że nie spełni ona oczekiwań. Większa wydajność pracy wcale nie musi się przełożyć na poprawę jakości życia. W wielu miejscach świata może być odwrotnie. Europa musi nadrabiać zaległości – mówi prof. Carl Benedikt Frey, ekonomista z Uniwersytetu Oksfordzkiego

Agaton Koziński

Główne pytanie dotyczące sztucznej inteligencji w tej chwili brzmi: czy stanowi ona rozwiązanie, czy zagrożenie? Jak Pan na nie odpowiada?

Przede wszystkim nie odnosząc się do dylematu, który pan zarysował w pytaniu, gdyż moim zdaniem to fałszywy dylemat. Dziś największe zagrożenie związane ze sztuczną inteligencją to fakt, że nie spełni ona oczekiwań.

Nie spełnia oczekiwań? Przecież obecnie wszyscy bez wyjątku podkreślają, że to przyszłość.

To spójrzmy na naszą teraźniejszość. W całej Europie zmagamy się z problemem generowania wzrostu gospodarczego, który jest nam potrzebny, aby sfinansować nasze opiekuńcze państwa, nasze usługi społeczne, poprawić standard życia na kontynencie. Europejska gospodarka stała się teraz grą o sumie zerowej – gdy jednym się poprawia, to innym pogarsza. Dziś można poprawić własny standard życia jedynie kosztem kogoś innego. To powoduje wiele napięć w społeczeństwie. Prowadzi to do złej polityki, z jaką mamy obecnie do czynienia. I szczerze mówiąc, bez sztucznej inteligencji trudno sobie wyobrazić, jak można by to odwrócić. Sztuczna inteligencja jest przez wszystkich postrzegana jako nasza największa nadzieja na szybki wzrost wydajności gospodarczej. Pytanie, czy ona jest w stanie to oczekiwanie zaspokoić.

Dziś sztuczna inteligencja raczej jest postrzegana jako źródło lęku – że pozbawi ludzi pracy. Podobnie jak rewolucja przemysłowa w XIX w. zmusiła całe grupy ludzi do radykalnej zmiany stylu życia.

Oczywiście, nie mam zamiaru zamiatać pod dywan ryzyk, wad i kosztów społecznych związanych z wchodzeniem w nasze życie sztucznej inteligencji. W wyniku jej upowszechnienia część osób może stracić miejsca pracy. Wcale to zresztą nie musi być konsekwencja automatyzacji, jak często się przewiduje. Sztuczna inteligencja sprawi natomiast, że staniemy się bardziej samodzielni. Na przykład dzięki jej instrukcjom będziemy w stanie samemu naprawić różne urządzenia – a to sprawi, że nie będzie zarabiać na tym serwis. W konsekwencji w niektórych branżach pojawi się presja na obniżkę wynagrodzeń czy wręcz zwalnianie ludzi z pracy. Nie będzie ona dotyczyć wyłącznie zawodów fizycznych, ale również umysłowych. Oprócz tego pojawi się presja związana z kosztami energii, ponieważ centra danych zużywają ogromne ilości energii. Napięć będzie więcej. Pojawiają się obawy związane z cyberbezpieczeństwem, a nawet zagrożeniami egzystencjalnymi.

Egzystencjalnymi?

Wiele osób boi się, że sztuczna inteligencja nie będzie zgodna z ich wartościami, a potencjalnie okaże się zagrożeniem dla ludzkości. Są też tacy, którzy obawiają się, że autonomiczne systemy uzbrojenia mogą wywołać konflikt. Obie te obawy różnią się co do prawdopodobieństwa, ale mimo to nie powinniśmy ich po prostu zamiatać pod dywan.

Teraz kreśli Pan scenariusze jak z „Terminatora" czy „Matrixa". Filmowa rzeczywistość może stać się faktem?

Żaden konkretny scenariusz nie wydaje mi się bardzo prawdopodobny. Natomiast dość oczywiste jest, że sztuczna inteligencja ma znaczący wpływ na cyberbezpieczeństwo. Obserwujemy już przypadki, w których systemy SI włamują się do innych firm. Jeśli takie narzędzia będą sterować systemami uzbrojenia, Bóg jeden wie, co może się wydarzyć.

Rozmawiamy przy okazji Pana książki „How Progress Ends". Stawia Pan w niej tezę, że moment wielkiego skoku naprzód jest bardzo krótki, a po nim następuje stagnacja, albo wręcz kryzys. W którym momencie tej rewolucji obecnie się znajdujemy?

Wspomniałem wcześniej, że sztuczna inteligencja to nasza najlepsza szansa na ożywienie wzrostu gospodarczego. Nie oznacza to jednak, że wzrost nastąpi automatycznie tylko dlatego, że mamy sztuczną inteligencję. Jeśli cofniemy się do lat 90. i przyjrzymy się rewolucji komputerowej, to dzisiejsza sztuczna inteligencja nie jest jeszcze tak przełomowa, jak komputery i internet w latach 90. A co nam dała rewolucja komputerowa? Zapewniła dostęp do zgromadzonej na świecie wiedzy, którą w formie smartfona nosimy w kieszeniach. Ale także sprawiła, że trwający przez ostatnią dekadę wzrost wydajności gospodarki ograniczył się w dużej mierze do Stanów Zjednoczonych. Warto więc zastanowić się, czy sztuczna inteligencja rzeczywiście ożywi gospodarki w Europie.

Póki co rozwija się ona przede wszystkim poza Europą.

Dlatego musimy dokładniej przemyśleć, w jaki sposób ta technologia powinna oddziaływać na nasze instytucje i nasze motywacje. Ja sam pracuję w środowisku akademickim. W nim obowiązuje zasada: „publikuj albo zgiń". Bez publikowania nikomu nie uda się zrobić w tym środowisku kariery. Co to oznacza? Są dwie możliwości. Albo będziemy wykorzystywać sztuczną inteligencję po to, by móc realizować więcej projektów, albo będziemy ją wykorzystywać do większego zgłębienia jednej konkretnej kwestii. Wbrew pozorom to złożony dylemat. Więcej publikacji pozwala poprawić pozycję w świecie nauki. Ale jeśli nie będziemy zachęcać ludzi do podejmowania ryzyka i poszerzania granic wiedzy, nie uzyskamy przełomowych innowacji.

Kwadratura koła.

Dlatego tym bardziej trzeba zadbać o to, by regulacje nie hamowały innowacji w dziedzinie sztucznej inteligencji. Oczywiście, część przepisów jej dotyczących jest niezbędna, choćby po to, by zapewnić bezpieczeństwo. Ale należy sprawdzić, czy te regulacje nie faworyzują dotychczasowych graczy, czy umożliwiają nowym firmom wejście na rynek. Potrzebujemy nowych firm, które wykorzystują sztuczną inteligencję do opracowywania nowych produktów i branż, aby osiągnąć znaczący, trwały wzrost gospodarczy. Wcześniej nawiązał pan do czasów rewolucji przemysłowej. Ona de facto uruchomiła cały proces zmian, od maszyny parowej doszliśmy do samolotów, rakiet i antybiotyków. Udało się to osiągnąć, bo robiliśmy rzeczy, które wcześniej były nie do pomyślenia. Ważne jest, by teraz utrzymać taką sytuację.

Jeszcze raz wrócę do Pana książki i jej głównej tezy. Dlaczego obawia się Pan, że tak dynamiczny rozwój technologii doprowadzi do stagnacji? Owszem, mogą wystąpić nierównowagi, część będzie korzystać na zmianach, a część tracić. Ale Pan twierdzi, że efektem rozwoju może być ogólna flauta. Dlaczego?

Ciągle nie do końca wiemy, jakiego typu zmiana to będzie. Na pewno w części zawodów nastąpi automatyzacja, która doprowadzi do tego, że ludzie stracą pracę. Na przykład pojazdy autonomiczne, prace nad nimi są już bardzo zaawansowane. W kolejnych miastach w Stanach Zjednoczonych pojawiają się już autonomiczne taksówki. Wkrótce osoby pracujące jako kierowcy ciężarówek czy autobusów mogą zacząć być zastępowani przez rozwiązania autonomiczne. Ale to jedyny kierunek zmian. Sztuczna inteligencja zmniejszy bariery wejścia na rynek w zakresie tworzenia treści i usług profesjonalnych. Choćby praca księgowego – z wykorzystaniem sztucznej inteligencji stanie się ona łatwiejsza niż bez niej. Podobnych zawodów jest więcej. SI sprawi, że wystąpi fala offshoringu, poszczególne biznesy będą się przenosić w różne części świata. Poza tym wiele osób będzie mogło łatwiej wykonywać różne czynności samodzielnie.

Dał Pan przed chwilą przykład, jak dzięki sztucznej inteligencji będziemy sami dokonywać drobne naprawy, zamiast wzywać na pomoc specjalistów.

Właśnie. A jeśli przeniesiemy więcej czynności do sfery nieodpłatnej produkcji domowej, będzie to miało realne przełożenie na gospodarkę. Niektórzy doświadczą spadku dochodów albo nawet stracą pracę. Jak zrównoważyć takie zakłócenia? Jedyne, co możemy zrobić, to spróbować stworzyć nowe branże i nowe rodzaje pracy.

Zawsze taki był efekt wszystkich zmian cywilizacyjnych.

Dziś w USA większość obywateli wykonuje zawody, które w 1940 r. jeszcze nie istniały. Trzeba było je wymyślić. Podobnie jest z obecną zmianą. Stare zawody będą znikać, trzeba będzie tworzyć nowe. Ale by do tego doszło, trzeba zadbać o to, by firmy, które będą je tworzyć, nie były dławione nadmiernymi obciążeniami regulacyjnymi.

Jeremy Rifkin w starej książce – z 2001 r. – „Koniec pracy" postawił tezę, że w przyszłości praca stanie się luksusem. Większość ludzi będzie siedzieć

eprasa.pl c2b087826f

FOT. PAP/EPA

Prof. Frey: Zmiany technologiczne mogą oznaczać niepokoje (na zdjęciu: protesty w Irlandii przeciw budowie centrów sztucznej inteligencji)

w domu i uzyskiwać jedynie tzw. dochód podstawowy, wypłacany na przykład za oglądanie reklam w telewizji. Może Rifkin trafnie przewidział przyszłość?

Nie można wykluczyć, że dojdzie do zmian w normach kulturowych. Nasza gospodarka cały czas ewoluuje. Weźmy pod uwagę na przykład Stany Zjednoczone – są one obecnie około dziewięć razy bogatsze niż w 1900 roku. Jednocześnie Amerykanie poświęcają o 10 proc. więcej czasu na wypoczynek – zajmują się dziećmi, ogrodnictwem lub innymi niezarobkowymi czynnościami. Cały czas większość czasu przeznaczają na pracę zarobkową, ale wiek temu musieli pracować więcej.

Jak głęboko te normy kulturowe będą ewoluować?

Na razie nie widzimy niczego, co sugerowałoby, że sztuczna inteligencja sprawi, że praca zarobkowa stanie się reliktem przeszłości. Ale na pewno jednym z możliwych scenariuszy wpływu SI na nasze życie jest skrócenie liczby godzin przeznaczonych na pracę. Przeszliśmy od siedmiodniowego tygodnia pracy do sześciodniowego, a następnie do pięciodniowego. Potencjalnie moglibyśmy przejść na cztery lub trzy dni, jeśli sztuczna inteligencja na to pozwoli i jeśli zauważymy dzięki temu ogromny wzrost wydajności. Podkreślam słowo „jeśli" – bo teraz takiego zjawiska nie obserwujemy. Nie skupiajmy się zresztą tylko na tym, jak będziemy pracować. Jeśli sztuczna inteligencja przełoży się na większą wydajność, to warto się zastanowić, jak to wykorzystać do wzmocnienia naszych systemów opieki społecznej. Jak sprawić, aby wszyscy mogli korzystać z dobrobytu, który dzięki obecnym innowacjom powstaje. Tu już potrzebne będą dobre decyzje polityczne.

Rozmawiamy o jasnej stronie księżyca. Ale trzeba też pamiętać, że istnieje jego ciemna część. Nie można wykluczyć, że obecna rewolucja technologiczna sprawi, że nowo powstałe bogactwo zostanie skupione w pojedynczych rękach, a większość ludzi znajdzie się na marginesie zmian. Wtedy reakcją będzie kolejna rewolucja. Jak duże jest takie ryzyko?

Na pewno trzeba brać pod uwagę sytuację, że obecne przemiany technologiczne nie będą przebiegać wszędzie w ten sam sposób. Możliwe, że pojawią się większe niepokoje. Nie mam absolutnie żadnego pojęcia, jak one będą wyglądać, czy to będzie kolejna rewolucja bolszewicka, czy przybiorą one jakąś inną formę. Całkowicie natomiast możliwe, że w niektórych miejscach świata dojdzie do niepokojów, a w innych do zachowania stabilności społecznej i wspólnego dobrobytu. Pod tym względem to też sytuacja typowa dla rozwoju cywilizacji. Spójrzmy na przykład na rozkład zasobów naturalnych. W niektórych miejscach na świecie jest ich więcej, w innych mniej. Nie wszyscy też potrafią z nich efektywnie korzystać. Na przykład Norwegia zyski z gazu efektywnie dzieli między całą społeczność za pośrednictwem specjalnego funduszu majątkowego. W innych krajach zasoby surowców energetycznych w żaden sposób nie przekładają się na poprawę jakości życia lokalnych społeczności. W pewnym sensie sztuczna inteligencja może dać podobne efekty. Nawet masowe odkrycia, zmiany technologiczne nigdy nie sprawiają, że osiąga się powszechny dobrobyt.

Za globalną rewolucją technologiczną stoją konkretne firmy. Dominują Amerykanie, za nimi plasują się kraje azjatyckie. Europa zostaje w tyle. Co to oznacza dla naszego kontynentu?

Wciąż nie wiemy, kto ostatecznie zgarnie największe zyski z tej rewolucji. Nie ma pewności, czy głównymi beneficjentami będą dostawcy modeli podstawowych. Mogą oni przypominać linie lotnicze: sama technologia jest imponująca, ale silna konkurencja sprawia, że prowadzenie takiego biznesu niekoniecznie oznacza wysokie zyski. Już teraz chińskie modele wywierają presję na ceny abonamentów, które mogą pobierać amerykańskie firmy technologiczne. Ta presja może z czasem jeszcze wzrosnąć. Prawdziwe pytanie brzmi więc: gdzie będzie powstawała wartość? W samych modelach sztucznej inteligencji czy w przedsiębiorstwach, które wykorzystają tę technologię, by skuteczniej produkować obrabiarki, farmaceutyki i inne towary? W tym właśnie Europa wciąż ma atuty. Jesteśmy silni w branży farmaceutycznej, chemicznej i maszynowej. Jeśli nauczymy się wykorzystywać sztuczną inteligencję do rozwijania tych sektorów, możemy odnieść znaczące korzyści. Nie wolno jednak wyciągać z tego wniosku, że możemy spokojnie oddać innym przywództwo w tym obszarze. Kto nie uczestniczy w rozwoju kluczowej technologii, ten nie ma wpływu na jej kształt i musi polegać na innych. Europa nie może pozwolić sobie na taką zależność. Potrzebuje własnej siły przetargowej.

Jak duże jest ryzyko, że przez brak własnych autorskich rozwiązań w dziedzinie sztucznej inteligencji Europa po prostu znajdzie się na marginesie?

Takie niebezpieczeństwo jest realne. Jedna innowacja często otwiera drogę następnej. Jeśli przegapimy obecną falę, możemy nie uczestniczyć również w kolejnej. W Europie częściowo już to przerabialiśmy. Przegapiliśmy rewolucję w dziedzinie oprogramowania, a teraz po raz kolejny odczuwamy konsekwencje technologicznego zapóźnienia – tym razem w sztucznej inteligencji. Historia pokazuje, jak trudno odwrócić taki trend. Jeśli porównamy mapę innowacji w technologiach kosmicznych z lat 60. z mapą z początku XXI wieku, to zobaczymy w większości te same miejsca. Wczesne innowacje przyciągają talenty, kapitał i zasoby, tworząc klastry, które utrzymują swoją dominację przez dekady. Europa musi zatem stworzyć własne centra rozwoju technologicznego. Mamy doświadczenie w nadrabianiu zaległości, ale nie zawsze kończy się ono sukcesem. Airbus zdołał dogonić Boeinga, natomiast w półprzewodnikach Europa nie osiągnęła podobnego rezultatu. Różnica polega na charakterze konkurencji. Gdy powstawał Airbus, lotnictwo było już stosunkowo dojrzałą branżą. Boeing stanowił więc cel, który nie zmieniał się radykalnie w trakcie rywalizacji. W półprzewodnikach technologia rozwijała się znacznie szybciej, a cel nieustannie się przesuwał.

Głównym problemem Europy jest niska elastyczność pozwalająca przystosowywać się szybko do zmian.

W przypadku sztucznej inteligencji sytuacja jest jeszcze trudniejsza. Nie wiemy nawet, które rozwiązania okażą się dominujące: duże modele językowe, małe modele, modele świata czy zupełnie inne technologie. Europa musi zabezpieczyć się na różne scenariusze i wspólnie stworzyć warunki sprzyjające innowacjom. Skala rynku ma bezpośrednie znaczenie dla opłacalności innowacji. Rozdrobnienie ogranicza możliwości rozwoju i zmniejsza potencjalne zyski. Jeśli Europa chce przełamać swój cyfrowy deficyt innowacyjności, musi zmierzyć się właśnie z tymi strukturalnymi problemami.

FOT. MATERIAŁY AUTORA

Prof. Carl Benedikt Frey

Ekonomista Uniwersytetu Oksfordzkiego. Autor m.in.: „The Future of Employment: How Susceptible Are Jobs to Computerisation?", „How Progress Ends: Technology, Innovation, and the Fate of Nations".

eprasa.pl c2b087826f

PSYCHOLOGIA

Boimy się odmówić, nie chcemy urazić, czyli jak wpadamy w spiralę zobowiązań i manipulacji

Wiedza i inteligencja nie dają odporności na manipulację. Czasem wystarczy sympatia, poczucie zobowiązania albo obawa, że ominie nas ostatnia szansa. O tym, jak rozpoznać ukrytą presję i odzyskać swobodę powiedzenia „nie", mówi psycholożka i psychoterapeutka Alicja Stankiewicz

Anita Czupryn

FOT. 123RF

Alicja Stankiewicz: Wdzięczność nie jest zobowiązaniem. Mogę doceniać czyjś gest i nadal powiedzieć „nie"

Napisała pani książkę o manipulacji. Czy teraz widzi ją pani wszędzie?

Jeśli mówimy o książce, to rzeczywiście: trwa jej promocja, więc teraz często ją widzę. Ale rozumiem, że pyta pani o samą manipulację. Myślę, że jestem bardziej wyczulona na różne techniki manipulacyjne, choć nie rozglądam się dookoła po to, żeby każdą z nich rozpoznawać i nazywać. Z tym tematem jestem zaznajomiona od wielu lat. Studiowałam również marketing i biznes, a techniki wpływu wykorzystywane w sprzedaży poznawałam już podczas studiów. Ta wiedza przede wszystkim pomaga mi się zatrzymać. Właśnie o tym jest moja książka: większa świadomość pozwala zauważyć, że ktoś próbuje nas w coś wciągnąć. Nie jest jednak tak, że kiedy skończymy studia i zdobędziemy wiedzę, stajemy się odporni na manipulację. Wcale tak nie jest.

Której technice sama pani najłatwiej ulega, choć doskonale wie, jak ona działa?

Na pewno najłatwiej ulec sympatii, czasem nawet pewnemu zauroczeniu drugą osobą. To mechanizm związany z lubieniem: kiedy kogoś lubimy, łatwiej nam się do niego zbliżyć, a jemu łatwiej coś od nas uzyskać. Przykładem może być pani w sklepie, w którym robię zakupy. Wybieram ten warzywniak, a nie inny, bo zawsze możemy przyjemnie porozmawiać, uśmiechnąć się do siebie. Podobnie z fryzjerką, którą darzę sympatią. Nawet jeśli czasem coś mi nie pasuje, nie ma to już tak wielkiego znaczenia. Po prostu ją lubię, więc do niej wrócę.

Ale sama sympatia nie jest jeszcze manipulacją. Załóżmy, że idę na rozmowę o pracę i mówię osobie, która ma ją ze mną prowadzić: „Ma pani piękne kolczyki". Czy próbuję nią manipulować, czy po prostu nawiązuję kontakt? Czy manipulacja zaczyna się wtedy, gdy chcę osiągnąć coś kosztem drugiego człowieka?

Zdecydowanie to drugie. Mogą mi się podobać pani kolczyki i mogę chcieć wyrazić swoją opinię. Nie musi za tym stać zamiar przyciągnięcia pani uwagi, zdobycia sympatii po to, żeby coś pani sprzedać albo uzyskać coś dla siebie, choćby tę pracę. O manipulacji mówimy wtedy, gdy ukrywamy swoje intencje i próbujemy skłonić drugą osobę do zrobienia czegoś dla nas wbrew jej woli. Możemy lubić sąsiada, sąsiadkę czy innych ludzi. Samo lubienie nie jest manipulacją.

Lubimy tych, którzy nas lubią.

Tak. Lubimy też tych, którzy są do nas podobni: mają podobne zainteresowania, podzielają nasze wartości, mają zbliżone poczucie humoru. Różne rzeczy mogą nas łączyć. Gdybyśmy nie lubili ludzi podobnych do nas, byłoby to trochę tak, jakbyśmy nie lubili samych siebie. Mamy prawo lubić innych. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy ktoś wykorzystuje tę sympatię do własnych celów. Wywiera na nas presję, żebyśmy zrobili coś, na co nie mamy ochoty albo czego nie potrzebujemy.

Lubimy też myśleć, że manipulacji ulegają ludzie naiwni. Inteligentni również dają się na nią złapać?

Tak. Jestem psycholożką, a też mi się to zdarza. Jedną z pułapek jest właśnie myślenie: „Mnie nie da się zmanipulować, bo jestem inteligentny, wszystko już wiem i znam te techniki". To tak nie działa. Inteligencja ani wykształcenie nie dają nam immunitetu. Są badania wskazujące, że osoby o większej zdolności do analitycznego myślenia mogą rzadziej ulegać niektórym mechanizmom i lepiej odróżniać informacje prawdziwe od fałszywych. Samo formalne wykształcenie nie gwarantuje jednak odporności. Choćby w przypadku sympatii nie zawsze łatwo zauważyć, czy ktoś próbuje nas wykorzystać. Jest też społeczny dowód słuszności. Znajomi mówią: „Ten lekarz jest naprawdę świetny, idź do niego". Sprawdzili go, wierzą, że jest dobry, pomógł im, więc myślę, że pomoże również mnie. Korzystam z informacji ze swojego otoczenia, szukając najlepszej możliwości. Może się jednak okazać, że ten lekarz mi nie pomoże. Ale takie rekomendacje są nam potrzebne. Nie musimy przecież znać wszystkich lekarzy i prawników ani orientować się w medycynie, prawie, finansach czy budownictwie. Ufamy ekspertom, a potem weryfikujemy to zaufanie w praktyce. Ważne, żeby umieć się wycofać, kiedy widzimy, że ktoś nie spełnia naszych oczekiwań, zamiast dalej w to brnąć. Tu pojawia się kolejny mechanizm: utopionych kosztów. Nie chcemy wycofywać się z raz podjętej decyzji, bo wydaje nam się, że źle to o nas świadczy. Chcemy być konsekwentni, spójni, myśleć o sobie, że wiemy, co robimy. Przyznanie nawet przed samym sobą: „Podjąłem złą decyzję, wycofuję się" nie jest przyjemne.

Ale dlaczego tak łatwo oddajemy komuś własny osąd? Wystarczy pewny głos, tytuł przed nazwiskiem?

Korzystanie z wiedzy ekspertów jest racjonalną strategią. Problem zaczyna się wtedy, gdy mylimy sygnały kompetencji z samą kompetencją. Tytuł naukowy, garnitur, stanowisko, specjalistyczne słownictwo, nawet ton głosu czy duża liczba obserwujących na Instagramie albo Facebooku mogą działać jak skróty poznawcze. Widzimy człowieka w białym kitlu i myślimy: „To pewnie lekarz". Widzimy mundur policjanta: „To na pewno policjant". Przywiązujemy większą wagę do słów takiej osoby, bo w naszym umyśle pojawia się myśl: „On na pewno wie więcej". Po to idziemy do lekarza, prawnika czy specjalisty od podatków, żeby dowiedzieć się czegoś, czego sami nie wiemy. Zakładamy, że jego rada w danej dziedzinie będzie trafna. Tymczasem czasami mamy do czynienia tylko z etykietką. Ktoś nazywa się psychologiem, choć nim nie jest, a inni przyjmują to za prawdę.

Pamiętam sprawę Andrzeja Samsona, psychologa i psychoterapeuty oskarżonego o przestępstwa seksualne wobec dzieci. To drastyczny przykład tego, jak bardzo można zaufać komuś uznawanemu za autorytet. Media zapraszają eksperta w jednej dziedzinie, a on z czasem zaczyna wypowiadać się o wszystkim. Co jest groźniejsze: fałszywy ekspert czy prawdziwy ekspert, który wychodzi poza swoje kompetencje? Przy okazji, zawsze mnie śmieszą ci domorośli „eksperci", którzy siadają przed telewizorem z piwem i komentują mecz, że oni zagraliby lepiej.

Dopóki siedzimy przed telewizorem i każdy z nas „zna się" na piłce nożnej, nie jest to jeszcze takie groźne. Fałszywe autorytety mogą jednak wyrządzić dużo krzywdy. Ktoś udaje lekarza, przepisuje niewłaściwe leki i może doprowadzić nawet do czyjejś śmierci. Ktoś inny udaje specjalistę od podatków, rozlicza znajomych albo zakłada biuro, a ludzie ponoszą konsekwencje jego działań. Takie autorytety niewątpliwie są niebezpieczne. Kiedy natomiast prawdziwy ekspert wypowiada się w obszarze, na którym się nie zna, to – i myślę o tym teraz, rozmawiając z panią – również staje się w pewnym sensie fałszywym autorytetem. Skoro się na czymś nie znam, dlaczego wypowiadam się tak, jakbym się znała? Jeśli świadomie wykorzystuję do tego swoją pozycję, jest to także pewien rodzaj manipulacji. Podobnie może zachowywać się prezes firmy: „Jestem prezesem, znam się na wszystkim i nie pozwolę, żeby ktokolwiek mi coś tłumaczył". Profesor historii nie musi znać się na ekonomii, a profesor prawa na medycynie.

Chyba że studiował również medycynę albo się nią pasjonuje. Tego przecież nie wiemy.

Oczywiście. Wtedy jednak możemy wypowiadać się inaczej: „Mam taką wiedzę, z mojego punktu widzenia wygląda to w ten sposób. Być może istnieje inne podejście, być może ktoś widzi inne możliwości". Zostawiamy przestrzeń do dyskusji, zamiast mówić autorytarnie, tak jakby nikt nie miał prawa nam przerwać. Tu dochodzimy do perswazji. Próbujemy przekonać kogoś do swojego punktu widzenia za pomocą argumentów, ale nie za wszelką cenę. Druga osoba też ma prawo się wypowiedzieć, mieć inne zdanie, zgodzić się z nami albo nie.

„Wszyscy tak robią" – ten argument właściwie niczego nie dowodzi, a jednak potrafi nas przekonać. Dlaczego?

Przede wszystkim często jest nieprawdziwy. Mówimy „wszyscy", choć w rzeczywistości chodzi o jakąś grupę. Możemy powiedzieć: „Wszyscy chodzą", ale przecież są osoby, które nie chodzą.

Ten argument napędza też różne mody. Na przykład: wszyscy kupują książki okre-

eprasa.pl c2b087826f

ślonej autorki, bo mówi się, że pisze wspaniałe kryminały, więc ja też powinnam je mieć i znać.

Tak: inni mają, ja nie mam, więc też chcę. Pojawia się obawa, że będę gorzej postrzegana. „To ze mną jest coś nie tak, skoro tego nie mam. To ze mną jest coś nie tak, skoro nie biegnę za innymi". Tym bardziej wątpimy w siebie, im słabsze mamy poczucie własnej wartości i im mniej ufamy swoim wyborom. Bardziej potrzebujemy wtedy, żeby inni coś za nas zrobili, wybrali albo wskazali, bo nie wierzymy, że nasze decyzje będą dobre.

Dlaczego tysiąc polubień potrafi zmienić naszą ocenę produktu, człowieka, a nawet poglądu?

Znów wróciłabym do lubienia i do społecznego dowodu słuszności. Influencer nie musi być gwiazdą telewizyjną ani aktorem, którego darzę szacunkiem czy podziwem. Może wywodzić się ze społeczności, z którą się utożsamiamy. Czujemy wtedy, że jest nam bliższy: „Jest taki jak ja". Kiedy reklamuje produkt, łatwiej mu wierzymy. Wcześniej pokazywał swoje dzieci, dom. Widzimy, w jakim pomieszczeniu nagrywa rolkę, jak się porusza, jak mówi. Zaczynamy go lubić z różnych powodów: jest do nas podobny, chcielibyśmy być tacy jak on albo po prostu poznajemy go dzięki temu, co opowiada o sobie. Influencerka czy influencer buduje w ten sposób relację z odbiorcami. Jest ona jednostronna: my lubimy tę osobę, ale ona nas nawet nie widzi, nie wie, jak wyglądamy. Mimo to czujemy się bliżej niej. Jeżeli taką osobę podziwiam, podoba mi się jej życie i chciałabym być taka jak ona, a do tego słyszę: „Zobacz, ten krem działa", zaczynam wierzyć, że tak jest. Zwłaszcza gdy pokazuje: „Z jednej strony mam zmarszczkę, z drugiej jej nie ma". Nagrywa to, a ja myślę: „Skoro to widzę, to jest to prawda". W ten sposób influencerzy sprzedają nam produkty, najpierw wzbudzając w nas poczucie, że są naszymi znajomymi. Do tego widzimy pod postem tysiące lajków, więc pojawia się przekonanie, że „inni to lubią, to musi być dobre". Z pewnością są produkty, które rzeczywiście są dobre. Pamiętajmy jednak, że influencerka reklamuje je nie dlatego, że nas lubi, lecz dlatego, że chce je sprzedać i na tym zarabia.

„Tylko dziś", „Ostatnia szansa", „Zostały dwie sztuki". Dlaczego te komunikaty tak na nas działają?

Odwołują się do rzadkości i obawy, że coś stracimy. „Ostatnie dwie sztuki", czyli za chwilę już nie będę mogła tego kupić. „Zostało jedno miejsce", czyli jeśli się nie zapiszę, nie wiem, czy takie szkolenie jeszcze się pojawi. Stracę możliwość uczestnictwa w nim. To wiąże się z FOMO, od angielskiego „fear of missing out": obawą, że coś nas ominie. Inni skorzystają, a ja nie. Nie lubimy tracić. Amos Tversky i Daniel Kahneman opisywali awersję do straty: strata zwykle boli bardziej niż cieszy równoważny zysk. Na przykład utrata stu złotych może boleć bardziej niż cieszy zyskanie stu złotych. Boimy się, że później czegoś już nie będzie. Jeśli jednak damy się wciągnąć we wszystkie takie hasła, stracimy dużo pieniędzy, a dom zapełni się niepotrzebnymi gadżetami. Warto się zatrzymać i powiedzieć sobie: „Zaraz, to szkolenie może być dla mnie wartościowe i chciałabym w nim uczestniczyć, ale może nie teraz, bo nie mam na nie pieniędzy. Poczekam do jutra. Może miejsce nadal będzie dostępne, a ja przemyślę, czy mogę sobie na to pozwolić, czy naprawdę tego chcę i potrzebuję". To, co trudno dostępne, wydaje się bardziej atrakcyjne, bardziej wartościowe, czasem nawet lepszej jakości. A do tego nie chcemy, żeby coś nas ominęło.

Z własnego doświadczenia znam też trudność z wycofaniem się z pochopnego „tak". Umawiam się z koleżanką, a potem zaglądam do kalendarza i widzę, że w tym czasie mam wizytę u lekarza. Nikt mnie nie przymuszał, ale już czuję ciężar zobowiązania. Dlaczego tak trudno zmienić decyzję, która nam nie służy?

Najpierw warto zapytać, co panią skłoniło do tej zgody. Dlaczego powiedziała pani: „Tak, spotkam się z tobą", zanim sprawdziła, czy ma czas? Być może nie chciała pani urazić drugiej osoby. Może wcześniej zrobiła coś dla pani, a teraz chce się pani odwdzięczyć. „Pomogła mi, więc co? Nie umówię się z nią na kawę?". Zgadzamy się, nawet nie sprawdzając, czy mamy w tym czasie inne spotkania. A potem zaglądamy do kalendarza i okazuje się, że jednak mamy. Co się wtedy pojawia? Lęk, że jeśli odmówię, ona się obrazi? Będzie źle na mnie patrzyła? Nie zechce już więcej mi pomóc? To spirala zobowiązania: skoro ktoś coś dla mnie zrobił, czuję, że kiedy poprosi mnie o cokolwiek, powinnam się zgodzić. Tymczasem druga osoba również z jakiegoś powodu zdecydowała się nam pomóc, wesprzeć nas czy coś dla nas zrobić. To była jej decyzja. Możemy się odwdzięczyć, ale nie każdą przysługę musimy odwzajemnić. Oczywiście wzajemność jest bardzo ważnym mechanizmem: spaja społeczności i pozwala im przetrwać. Ja robię coś dla ciebie, ty dla mnie, wspieramy się. Nie oznacza to jednak, że każda uprzejmość musi zostać od razu odwzajemniona. Można powiedzieć: „Bardzo ci dziękuję. Doceniam, że wtedy mi pomogłaś. Chętnie się z tobą spotkam, ale w innym terminie". A jeśli już potwierdziłam spotkanie, warto zadzwonić: „Przepraszam, umówiłam się z tobą, ale zajrzałam do kalendarza i mam wtedy inne zobowiązanie. Czy możemy zmienić termin?".

Pisze pani także o gaslightingu. Jak odróżnić go od zwykłego konfliktu? I dlaczego osoba poddawana takiej manipulacji zaczyna bardziej ufać manipulatorowi niż sobie?

Gaslighting nie oznacza po prostu, że coś pamiętamy inaczej. Mamy do tego prawo: pani może pamiętać ze spotkania coś innego niż ja. Możemy nawet się o to posprzeczać, a potem znowu pójść na kawę bez obrażania się. W gaslightingu chodzi o systematyczne podważanie sposobu, w jaki druga osoba postrzega rzeczywistość po to, aby przejąć nad nią władzę i nie przyznawać się do porażki w obronie swojego JA. Ze strony manipulatora padają komunikaty: „Wymyślasz", „Nigdy tego nie powiedziałem", „Przesadzasz", „Masz problemy z pamięcią". Albo: „Weź się ogarnij, zajmij się sobą. Jak zaczniesz myśleć, będzie ci lepiej w życiu". Służą osłabianiu zaufania do własnego osądu, własnej percepcji i obniżaniu poczucia własnej wartości osoby zmanipulowanej. Jeśli dzieje się to przez dłuższy czas, człowiek przestaje wierzyć temu, co czuje, w co wierzy i jakie ma potrzeby. Zastanawia się: „Może rzeczywiście przesadzam? Może ten ucisk w klatce piersiowej nie jest wyrazem lęku i tego, że źle się czuję w tej sytuacji? Może to ze mną jest coś nie tak, bo przecież powinno mi być dobrze?". Przestajemy ufać sobie i szukamy potwierdzenia wyłącznie u tej drugiej osoby.

Jak współczesny świat zarabia na naszym lęku? Po czym poznać, że ktoś informuje o zagrożeniu, po czym wykorzystuje je do wzbudzania strachu?

Lęk bardzo skutecznie przyciąga uwagę, bo nasz mózg jest szczególnie wyczulony na informacje o potencjalnym zagrożeniu. Dlatego współczesny świat potrafi ten mechanizm świetnie monetyzować. Media zyskują nasze kliknięcia i czas, platformy społecznościowe – zaangażowanie, reklamodawcy – uwagę, a firmy mogą najpierw pokazać nam problem, którego powinniśmy się obawiać, a następnie sprzedać rozwiązanie. „Możesz stracić zdrowie", „Twoje dane nie są bezpieczne", „Twoje dziecko może zostać w tyle", „Jeśli nie kupisz teraz, stracisz okazję". Najpierw pojawia się niepokój, potem sposób na jego zmniejszenie. Wykorzystywanie strachu zaczyna się wtedy, gdy zagrożenie jest wyolbrzymiane, przedstawiane bez kontekstu albo powtarzane w taki sposób, żeby utrzymać nas w napięciu. Często pojawia się też presja czasu: „Musisz zdecydować teraz", „Jeżeli tego nie zrobisz, konsekwencje będą poważne". Charakterystyczne jest również szybkie przejście od wzbudzenia lęku do podsunięcia konkretnego rozwiązania: kup, zagłosuj, kliknij, udostępnij, zapisz się. W takich sytuacjach warto analizować źródła i dane, zamiast przyjmować wszystko za prawdę pod wpływem wywołanych emocji. Sprawdźmy, skąd pochodzi informacja i jaka intencja za nią stoi. Co osoba albo firma posługująca się takim komunikatem chce osiągnąć.

Człowiek, który ma poczucie własnej wartości i ufa sobie lepiej, broni się przed manipulacją?

Na pewno nie chodzi o to, żeby przestać ufać ludziom, zacząć wszystkich monitorować i sprawdzać, jakich technik próbują wobec nas używać. Chodzi raczej o to, żeby nie oddawać automatycznie drugiej osobie prawa do decydowania za nas. Dlatego pewne znaczenie ma poczucie własnej wartości, ale jeszcze ważniejsze jest zaufanie do własnych ocen, potrzeb i granic. Osoby mniej pewne siebie, niezdecydowane czy silnie potrzebujące aprobaty mogą być bardziej podatne na wpływ, ponieważ łatwiej zaczynają wątpić we własne zdanie. Trzeba też pamiętać, że wielu sposobów funkcjonowania uczymy się w ciągu życia. Kiedyś mogły nam pomagać w relacjach albo chronić przed odrzuceniem. Jeśli ktoś od dziecka słyszał: „Dobrze, idź do koleżanki, skoro nie chcesz siedzieć z matką", mógł nauczyć się, że odmowa oznacza zranienie drugiej osoby i powinna wywoływać poczucie winy. W dorosłości taki mechanizm może zwiększać podatność na manipulację emocjonalną. Co ważne, osoba, która w ten sposób wpływa na innych, nie zawsze robi to świadomie. Żeby się chronić, przede wszystkim warto zatrzymać automatyczną reakcję. Dać sobie czas na decyzję, którą mielibyśmy podjąć pod wpływem reklamy czy manipulacji ze strony innej osoby. Jeżeli ktoś wywołuje we mnie silne poczucie winy, lęk, presję albo nagle bardzo intensywnie mi schlebia: „Jaka ładna bluzeczka", „Jak pięknie wyglądasz", warto nie podejmować decyzji od razu. Podobnie w reklamie: „Tylko teraz", „Ostatnia szansa", „Za chwilę oferta znika" – właśnie wtedy dobrze dać sobie czas. Warto więc nie tyle pytać: „Czy ktoś mną manipuluje?", ile: „Co się teraz ze mną dzieje? Dlaczego nagle czuję, że muszę się zgodzić, kupić, ustąpić albo podjąć decyzję natychmiast?". Taka uważność, połączona z umiejętnością pozostania przy własnym zdaniu, jest jednym z najlepszych zabezpieczeń przed manipulacją.

Jakie pytania warto sobie zadać, kiedy ktoś próbuje nas do czegoś przekonać?

Przede wszystkim: „Czy naprawdę mogę tej osobie odmówić bez późniejszego wypominania? Czy mogę powiedzieć »nie« i nadal będziemy w dobrych relacjach?". Warto też poznawać siebie: „Jaki rodzaj manipulacji działa na mnie najmocniej? W jakich sytuacjach staję się najbardziej podatna?". Jeśli chodzi o autorytet: „Czy ta osoba rzeczywiście jest ekspertem w tej dziedzinie? Na czym opiera swoje twierdzenia? Czy mogę zweryfikować je w niezależnym źródle?". Jeżeli kierujemy się wyborami innych: „Czy to, za czym wszyscy pędzą, będzie dobre również dla mnie? Czy ja także tego potrzebuję?". Ważny jest czas: zatrzymać się, zamiast od razu podejmować decyzję. W mediach społecznościowych warto pytać: „Czy lubię tę osobę, czy jej ufam? Czy rzeczywiście ma kompetencje, żeby rekomendować mi ten produkt? Czy ta rekomendacja ma sens? Czy ten produkt jest mi potrzebny?". W przypadku oferty, która za chwilę ma zniknąć: „Czy będzie dostępna również jutro?". I jeszcze: „Gdybym podejmowała tę decyzję jutro, czy wybrałabym tak samo?". Pamiętajmy, że wdzięczność nie jest zobowiązaniem. Mogę doceniać czyjś gest i nadal powiedzieć „nie". Starajmy się również patrzeć nie tylko na pojedyncze gesty, choć one są ważne, lecz na cały wzorzec zachowania i kontekst. Czemu służy to, co ktoś do mnie mówi? Jakie są konsekwencje? Jak ja się z tym czuję? Czy przy tej osobie jest mi dobrze, czy czuję się deprecjonowana? Jeżeli czuję się deprecjonowana, warto się zatrzymać i pomyśleć, czy mogę się z tej sytuacji wycofać.

Książka

Alicja Stankiewicz
„Techniki manipulacji. Kto i jak na nas wpływa", Wydawnictwo RM, Warszawa 2026

eprasa.pl c2b087826f

TURYSTYKA

Michał Wójcik: Zakochać się w jakimś zamku to za mało

O zachwycie, który potrafi zmienić całe życie, ruinach, które odzyskują dawną świetność i o cenie, jaką płacą ich opiekunowie – mówi Michał Wójcik, autor książki „Tańczący z zamkami, czyli subiektywny przewodnik po zamkach, pałacach i dworach”

Anita Czupryn

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Zamek Sarny

Czym różni się zamek od pałacu, a pałac od dworu? Okazuje się, że to wcale nie jest oczywiste.

Zdarzało mi się przyjeżdżać do zamku, a właściciel mówił: „Witam w pałacu”. Jestem historykiem, mediewistą, więc raczej nie mam problemów z rozróżnianiem obiektów i epok. Zwykle wystarczy rzut oka. Zatem patrzę, a to nie żaden pałac a zamek. Jak malowanie. Bywa, że coś ewidentnie barokowego, funkcjonuje dziś jako zamek. Jedziemy do Łańcuta i wszyscy przewodnicy, wszystkie drogowskazy witają nas w zamku. Na Boga, kiedy patrzy się na ten obiekt, żadnej zamkowatości w nim nie ma. Podobnie jest z dworami. Łatwo rozpoznać dworek z Soplicowa, ale dworem równie dobrze może być wieża mieszkalna albo gotycki czworobok. Ta nomenklatura się miesza. Dużo zależy od właściciela: jak on sam postrzega i przedstawia swój obiekt. I o tym też był nasz program telewizyjny. O tym, jak właściciele sami je traktują, jakimi darzą emocjami. Ale „Mam zamek” powstał również dlatego, że w Polsce coś drgnęło. Nie trzymamy się już tak kurczowo przekonania, że jeżeli coś zostało zniszczone przez Szwedów czterysta lat temu, to musi pozostać trwałą ruiną. Konserwatorzy powoli, z oporami, ale jednak wychodzą naprzeciw właścicielom i godzą się na jakąś formę odbudowy czy rekonstrukcji.

Zawsze myślałam, że zamek służy obronie, w pałacu mieszka wyższa arystokracja, na przykład książęta, a w dworach ziemianie i drobniejsza szlachta.

Tymczasem i król może mieszkać w dworze, który jest prostym gotyckim klockiem, a zwykły szlachcic czy arystokrata – w zamku. W epoce romantyzmu, co utrwaliła też literatura, nie tylko „Pan Tadeusz”, byli szlachcice, którzy mianowali się ostańcami, królami zamczysk. Tacy szaleni, w półobłąkani Gerwazowie zostawali w rozsypujących się ruinach i samozwańczo ogłaszali władcami odchodzącego świata. Bo wraz z tą architekturą odchodził też etos. Nie chcę tego rozstrzygać. Niech każdy na własną rękę bawi się w rozróżnianie pałaców, zamków i dworów. Oczywiście ortodoksi i historycy sztuki nie mają z tym problemu, ale dla nas może to być po prostu zabawa.

Ile mamy zamków w Polsce? Pisze pan, że ich sytuacja jest lepsza niż dziesięć lat temu. Jak wyglądamy na tle Europy?

Mamy około czterystu zamków. O wiele lepiej było przed wojną. Po wojnie komuna dorżnęła tę „pańską”, „wredną”, „krwiopijczą” spuściznę. Nie konserwowano tego, co się bez właścicieli rozpadało. Wiele pałaców, zniszczonych przez Niemców albo później przez komunistów, ograbiono i pozostawiono samopas. Lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte były koszmarne, a w osiemdziesiątych destrukcja była już totalna. Paradoksalnie niektóre obiekty ratowały PGR-y. Dyrektor nie chciał pracować w baraku. Przyjemniej było po pańsku: za biurkiem arystokraty czy ziemianina, nawet w jego fotelu, jeżeli ocalały jakieś meble. Kiedy PGR-y padły, nawet to szlag trafił. Pozostawione bez opieki budynki rozkradano. W latach dziewięćdziesiątych jeździłem na Dolny Śląsk i pamiętam wielkie tiry na niemieckich rejestracjach, którymi wywożono okiennice, portale, rzeźby, płaskorzeźby, kolumny. Wszystko pakowano zresztą polskimi rękoma. Lokalni mieli te ruiny gdzieś: ich rodzice przyjechali zza Buga, z Kresów, a oni sami nie czuli mięty do tych poniemieckich obiektów. Na szczęście to się już zmieniło. Ale jeśli pyta pani, ile tego jest, to powiem, że za mało. Mogliśmy uratować więcej. Proszę zobaczyć, jak to wygląda w Niemczech, Czechach czy na Słowacji. Tam wiele takich budowli jest w doskonałym stanie. Niektóre wyglądają, jakby właściciele dopiero wyszli i zostawili na stole jeszcze dymiącą zupę. To nie jest przesada. Armia Czerwona szła ławą w kierunku Berlina. W Polsce centralnej polscy komuniści próbowali jeszcze jakoś powstrzymywać marszałków. Przynajmniej niektórzy. Ale na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, na Śląsku, Pomorzu, w zachodnim pasie, było już bez trzymanki. „Dożynanie germańskiej gadziny” odbywało się na nieruchomościach. Kradzieże, wywożenie dzieł sztuki transportami na wschód. To, co zostało, palono i niszczono z premedytacją. Ocalało tak mało, że choćby z tego powodu zasługuje to na ochronę przez wszystkie służby publiczne. Dziś, na naszych oczach zachodzi też inny proces: Polska staje się bogatym krajem, ludzie się bogacą. Ci, którzy kiedyś jeździli po ruinach małymi fiatami czy rowerami, teraz jako zamożni ludzie mogą realizować swoje pasje ina-

eprasa.pl c2b087826f

czej. Stać ich na kupno obiektu, czasami w opłakanym stanie i ratowanie go, za swoje ciężko zarobione pieniądze. Kręcąc program „Mam zamek", byliśmy świadkami tego procesu. To bardzo podnosi na duchu.

Niektórzy kupują zamek czy pałac, a potem odbudowują, jak chcą, nie trzymają się wytycznych konserwatora. I powstają koszmarne obiekty.

Wiem, że w Polsce toczą się różne dyskusje. Ich odpryskiem była choćby wystawa na Zamku Królewskim w Warszawie - „Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy". Odniosłem wrażenie, że to szydera z pretensji niektórych Polaków, by mieć swój zamek. Twórcy wystawy pokazali ten proces na zdjęciach. Oto jakiś wiejski kibel, przystanek, bar czy speluna zostają „uzamkowione", dostawia się nich jakieś gotyckie wieżyczki z pustaków albo plastiku, żeby nadać temu pozór dawności. Ale na tej wystawie oberwało się nawet ludziom, którzy zabytki ratują i mam wrażenie, że jednak sprostali wysokim, estetycznym wymaganiom twórców wystawy. Druga sprawa to opór konserwatorów. Najlepszym przykładem jest podnoszenie z ruin Mirowa i Bobolic. Jarosław Lasecki przeszedł drogę przez mękę, by tego dokonać. Był jednak uparty i zdeterminowany, postawił na swoim, choć zapłacił za to wysoką cenę (choćby wspomnianej szydery). I teraz można dyskutować, czy to dobrze zrobiony obiekt, czy, jak chcą niektórzy, tak koszmarna replika, że aż zęby bolą. Tymczasem odbiorcy, czyli publika zagłosowali nogami. Walą tam dzikie tłumy turystów. Szlak Orlich Gniazd zawsze był popularny, bo jest piękny i jest tam wiele romantycznych ruin. Ale kiedy Lasecki „wskrzesił" zamek w Bobolicach, pojawiły się tam tłumy dotąd niespotykane. Ludzie chcą to oglądać.

Dlaczego tak kochamy zamki i pałace?

Francuzi też lubią swoje zamki nad Loarą. Nie wiem, jak to wyjaśnić. W tych starych miejscach jest magia.

Politycy proponowali kiedyś odbudowę wszystkich zamków na Szlaku Orlich Gniazd.

Tak, była taka koncepcja PiS-u: wskrzesić zamki Kazimierza Wielkiego. Ale to był tylko chwilowy zryw w prawicowej polityce historycznej. PiS miał wówczas wystąpienia, moim zdaniem kompletnie kretyńskie, na temat ratowania dziedzictwa narodowego i celu, jakiemu miałoby to służyć.

Dlaczego kretyńskie?

A czy coś się w tej sprawie ruszyło? „Ratujmy" zawsze dobrze brzmi. Ale jeśli tak, to rzeczywiście ratujmy. Potrzebne jest prawodawstwo, które pozwoli ludziom kupować takie obiekty, zaciągać nisko oprocentowane kredyty, a później je faktycznie ratować, dbać o nie, właściwie gospodarzyć. Przecież ci właściciele wkładają w nie przede wszystkim własne pieniądze. Publiczne dotacje to tylko ułamek. Zresztą przyznawane uznaniowo. Państwo chętnie ratuje kościoły, i dobrze, mamy wiele wspaniałych zabytkowych obiektów, ale jeśli chodzi o prywatne siedziby, ogląda i mlaska nad każdą złotówką.

Usłyszał pan od jednego z właścicieli, że zamku nie należy remontować za swoje.

To jeden z punktów dekalogu Martina Sobczyka, właściciela zamku Sarny. On oczywiście remontuje przede wszystkim za swoje, nie oszukujmy się. Walczy jednak o dotacje, stypendia, inne środki, bo pamiętajmy - to kolejne przykazanie tego dekalogu – właściciel, który splajtuje, jest największym zagrożeniem dla obiektu, pociągnie go za sobą na dno. Doprowadzi do katastrofy. Tymczasem te obiekty –przynajmniej ja je tak traktuję - są naszym wspólnym dziedzictwem. Sobczyk kupił zamek, jest jego właścicielem i za niego odpowiada, ale drzwi do zamku są otwarte dla wszystkich. Żaden prywatny właściciel nie zabierze swojego zamku czy pałacu do grobu. Budowla zostanie. Będziemy do niej przyjeżdżać i dumać nad naszą skomplikowaną historią. Na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych jest to zresztą bardziej skomplikowane. Znam ludzi, którzy odzyskują obiekty, które niegdyś należały do ich rodzin. Inni po prostu lubią stare, piękne rzeczy, czują do nich sentyment i wkładają w nie duszę. Ratuują, aby otworzyć dla publiczności. Wiem także, że wielu ludzi, taka prywatna „opieka" nad zabytkami może boleć. Estetycznie. Kiedyś robiliśmy z Joanną Lamparską, program „Kup pan zamek". Byliśmy z wizytą w Pieszycach. Słyszeliśmy, że to istny Disneyland: są tu a'la barokowe freski z Putinem, Marilyn Monroe itd. Rzeczywiście, zastaliśmy tu orgię złota i kolorów. Ale...no cóż. To prywatna sprawa właściciela. Tak mu w duszy grało, w taki sposób odnowił zabytek. Na zdrowie. To, co zrobił, przejdzie do annałów, już jest historią. Wiele obiektów jest jednak podnoszonych z ruin zgodnie ze sztuką. Takim ludziom trzeba kibicować, a państwo polskie powinno pomagać. To, jak Martin Sobczyk odnowił kaplicę Jana Nepomucena w Sarnach, jak państwo Agnieszka i Krzysztof Wieczorkowie uratowali „galerię cesarzy" w Strudze, jak Andrzej Meller odsłonił freski w Ciechanowicach – to są przykłady, od których robi się ciepło na sercu.

Który z właścicieli pokazał panu ruinę, zapowiedział, że ją odbuduje, a pan pomyślał, że to nie może się udać?

Nie, nie miałem takich myśli. Poza tym „odbudowa", to nie jedyna motywacja posiadania zamku. Podnoszenie z ruin to proces wieloletni. Dziś z tego co wiem, aż dziewięćdziesiąt dwa zamki są odbudowywane. Dobrym przykładem jest Niesytno na Dolnym Śląsku. Piękny obiekt. Odbudowuje go kilku właścicieli, zakochanych w tym miejscu, czemu się nie dziwię. W przyszłości będzie tam prawdopodobnie ekskluzywny hotel. Prace trwają. Jeżeli chce się to zrobić dobrze, nie można się spieszyć. W wielu miejscach słyszałem deklaracje: „To będzie kiedyś odbudowane". Maurycy Zając kupił rozpadający się dziewiętnastowieczny pałac w Patrykozach, w Polsce centralnej. Już zawaliła się tam wieża, reszcie groziła totalna destrukcja. Patrząc na zdjęcia z tego okresu, można było pomyśleć: jeszcze dwa, trzy lata i nie będzie co ratować. A jednak, udało mu się. On włożył w to wszystko, co miał. Efekt jest fenomenalny, pałac został odnowiony w bardzo dobrym stylu. To dziś szkatuła dla jego kolekcji, troszkę wygląda jak jakiś magazyn Desy. To dobry przykład, że można dokonać tego w ciągu kilku lat. Z gotyckimi budowlami jest inaczej. Niewiele firm potrafi odnawiać czy odbudowywać takie zabytki zgodnie ze sztuką. Wiem, że w Polsce jest już para archeologów czy historyków, która podnosi zamek z ruin dokładnie tak, jak budowało się w średniowieczu: bardzo powoli, dawnymi metodami. Podobne eksperymenty prowadzi się we Francji czy w Anglii. Ale jest jeszcze coś bardzo ważnego. Po drugiej wojnie światowej w Polsce dokonała się społeczna rewolucja, niech będzie, że „prześniona". Efektów tych przemian było oczywiście bardzo wiele, ale jednym z nich był upadek poczucia estetyki. Nie oszukujmy się: jeśli chodzi o architekturę, Polska nie jest dziś ładnym krajem. Architektura powojenna w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach jest koszmarna. Zwłaszcza lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte to eternit, blacha falista, pustaki, koszmarne klocki. Ci, którzy wskrzeszają dziś stare budowle, na nowo wracają do starych wzorców estetycznych. W naszym systemie edukacji nie uczymy dzieci klasyki, rozpoznawania tego, co piękne, godne, estetyczne. Dlatego ratowanie zamków, pałaców i dworów zgodnie ze sztuką jest fenomenalną, bardzo ważną pracą edukacyjną. Powinniśmy się do niej dokładać. W naszym własnym, dobrze pojętym, interesie. Lepiej żyć w pięknej okolicy niż wśród szpetoty i kiczu.

Opisuje pan w książce, jak Jacek Drogosz dostał kiedyś klucz do zamku w Świnach i do niego wszedł. Wiele lat później go kupił. Co zapamiętał z tamtej pierwszej wizyty?

Skrzyp drzwi. To świetna opowieść. Na dole, przy drodze, mieszkał człowiek, który trzymał do zamku klucz. Drogosz wziął go, otworzył bramę i usłyszał wizg starych zawiasów, tkwiących w tym miejscu od kilkuset lat. Przeszedł go dreszcz, jakby dotknął go sam anioł. Zrozumiał wtedy, że to miejsce ma coś. I gdy po latach nadarzyła się okazja kupna tego zamku, zrobił to. Skrzyp drzwi pozostał. Nie zniszczył go, nie zaolejował tych zawiasów. My wszyscy, turyści, którzy przyjeżdżamy i wchodzimy do zamku, możemy przeżyć ten sam dreszcz. Dla ludzi wrażliwych na takie rzeczy, to ważne.

Co pana bohaterowie robili najpierw, kiedy zamek stawał się ich własnością?

Czyścili. Każda działka pozostawiona na rok, dwa, trzy zarasta takimi chwastami i samosiejkami, że robi się las. Najpierw trzeba wyciąć ten gąszcz, wyciągnąć z niego ruiny czy obiekt. Potem archeologia i konserwacja. Gotyckie mury mogą przetrwać kilkaset lat, ale przecież wszystko się sypie. Trzeba ciągle konserwować, ciągle ratować. Niedawno usłyszałem, że w Chocimiu kawał muru runął do fosy. Oglądałem też relację o zawaleniu się dwunastowiecznej wieży w Hiszpanii. Tak się dzieje, kiedy nikt tego nie dogląda. Trzeba stale mieć zabytek na oku, sprawdzać, doglądać, upewniać się czy czegoś nie należy zreperować.

Martin Sobczyk początkowo sądził, że Sarnami będzie się zajmował z doskoku. Kiedy zrozumiał, na co naprawdę się zdecydował?

Przyjeżdżał z doskoku, ale skoro zamek był już jego, chciał go ratować. Jak pani jedzie na swoją działkę, to wie, że trzeba zrobić to, tamto i jeszcze coś. On przyjeżdżał i myślał: „Jezus Maria, jeszcze to, jeszcze tamto, bo zaraz coś się zawali, tu coś runie, sąsiad robi coś źle". Zrozumiał, że tak się nie da. Przyjechał na tydzień, dwa, ale to zawsze było za krótko. To muszą być miesiące. A potem coraz dłużej. Zakochać się w zamku, to za mało. To musi być miłość wierna. Jak w dobrym małżeństwie. Każdego dnia trzeba poświęcać tej osobie, w tym przypadku obiektowi, czas, energię, emocje. Wszystko, co mamy najlepszego, trzeba włożyć w ten zamek.

W Sarnach znaleziono kapsułę czasu, a w niej między innymi wiadomości o dziewczynce, która spędzała tam wakacje. Takie odkrycia zmieniają sposób patrzenia na dom?

Absolutnie. Powiedziała pani bardzo ważną rzecz. Gdy właściciel dokonuje jakiegoś prywatnego „odkrycia", przestaje patrzeć na ruiny jak na rzecz. Po odkryciu zawartości tej kapsuły czasu, potem po wizycie byłych właścicieli, otworzyły się w Sarnach emocjonalne wrota. Zawsze tak jest. Jedziemy do Malborka, wchodzimy do zamkowej kuchni i przewodnik mówi, że doszło tu do największego włamania średniowiecza: złodzieje weszli przez komin kuchenny do skarbca. Nagle widzimy tę historię przed oczami. Kuchnia przestaje być już tylko kuchnią. Albo kula armatnia wmurowana nad kominkiem w Letnim Refektarzu. Poznajemy opowieść o tym, jak wpadła przez to okno, w jakich dramatycznych okolicznościach i wtedy, już ten zamek, nie jest taki sam.

Podobnie było w Ciechanowicach. Miał powstać hotel, ale podczas prac spod tynku wyłoniły się malowidła. Odkrycie, które najpierw załamało właściciela, stało się jego dumą.

Ciechanowice są dla mnie idealnym przykładem wszystkiego, co dobre. W miejscowości stał szpetny gmach, w którym trudno było dostrzec bryłę pałacu. Na szczęście włodarz tej miejscowości, namówił lokalnego przedsiębiorcę: „Może weź to, zrób hotel, cokolwiek. To zabytek, trzeba o niego dbać, czy nam się podoba, czy nie". I rzeczywiście doszło do przemiany. I budynku w pałac, i właściciela w prawdziwego kustosza. Andrzej Meller – przy okazji pozdrawiam pana Andrzeja – całe życie budował drogi i mosty. Na szczęście miał zaplecze budowlane, ale był też żeglarzem. Morza i oceany nauczyły go cierpliwości, powolnego docierania do celu. Kto musi się zmagać z falami, pogodą, z tym wszystkim, co dzieje się na morzu, wie, że trzeba odważnie, ale stanowczo. Roztropnie. Zaczął powoli odkrywać piękno tego obiektu, osłonił niesamowite freski. Malowidła w Ciechanowicach i Galeria Cesarzy w Strudze należą, moim zdaniem, do cudów Polski. Są absolutnie bezcenne. Trzeba je ratować za wszelką cenę. On to zrobił. Człowiek, który zajmował się zupełnie czymś innym, stał się wzorowym opiekunem, oddał się temu obiektowi. A obiekt mu się odwdzięczył, jego historia wręcz „wlała" się w pana Andrzeja. On przeszedł metamorfozę. To fascynujące.

eprasa.pl c2b087826f

TURYSTYKA

Opisuje pan też Morawicę. Średniowieczna rezydencja uchodziła po prostu za plebanię, dopóki Maria Bicz-Suknarowska nie zauważyła w niej czegoś niezwykłego.

To niebywałe odkrycie. Chyba nie tylko dziesięciolecia. Takich odkryć w Polsce już raczej nie będzie. Archeolodzy w Poznaniu mają niedługo odkryć ślady pierwszego palatium Mieszka I, ale to będą resztki, fragmenty fundamentów. Ona odkryła zachowaną do trzeciej kondygnacji romańską siedzibę możnowładczą. Nie królewskie palatium, ale palatium Sieciecha, drugiej osoby w państwie, zachowaną w fenomenalnym stanie. Gdybym był ministrem kultury, to bym natychmiast przeznaczył kilkadziesiąt milionów na ten obiekt. Nie mamy takich wiele w Polsce. W zasadzie tylko dwa. To bezcenne zabytki, unikaty i rarytasy. Ona dokonała odkrycia jak Heinrich Schliemann w Troi czy Mykenach albo Arthur Evans w Knossos: ukruszyła tynk palcem, coś odpadło, ujrzała kamienny mur. Oczywiście jest fachowcem, więc zauważyła, że układ kamieni przypomina wątek romański. Odkryła i uratowała. Dzięki temu proboszcz opiekuje się tym obiektem już jak czymś niezwykle cennym. Akurat nieszczęściem tego miejsca, jest to, że palatium leży na ścieżce lądowania samolotów w Balicach. Są mikrodrgania. Maleńkie, ale jednak. Samoloty schodzą do lądowania kilkaset metrów nad dachem romańskiego obiektu. Kiedy przelatują, coś się z budynkiem dzieje. Dobrze byłoby – mówię to ze śmiechem – nieco opodatkować Balice i turystów, którzy lecą stamtąd na wakacje na Seszele, żeby choć grosik z każdego biletu szedł na renowację obiektu. Przecież to nie dla tej parafii, nie dla pani Bicz-Suknarowskiej. To dla nas. To nasza spuścizna, nasze dziedzictwo. Gall Anonim o tym pisał.

W Brodach zastawiono kiedyś stół słynnym Serwisem Łabędzim. Jak musiała wyglądać uczta, do której potrzebowano tak niezwykłej porcelany?

Kiedy sobie uświadomimy, że jeden ocalały drobny fragment serwisu, kosztuje dziś kilka czy kilkanaście tysięcy euro, myślimy: Boże drogi, gdyby nie wojna, to wszystko by tam nadal było. Tymczasem serwis już nie istnieje. Ocalałe części są rozrzucone po wielu muzeach, ale to nędzne resztki. Wszystko zniszczyli krasnoarmiejcy i ludzie tutaj nowi. Niesamowite, że można ustawić bezcenne rzeczy na dziedzińcu i jeździć po nich traktorem czy czołgiem dla zabawy, bo tak fajnie strzelają pod kołami, tak fajnie się rozbryzgują. To było barbarzyństwo, ale tak się stało i to się nie odstanie. Chwała Maciejowi Jusielowi, że próbuje ten pałac odbudować. On i inni właściciele z mojej książki, to właśnie tacy herosi. Próbują cofnąć czas. To wspaniałe. A jak wyglądała uczta u pana ministra Bruhla? Nawet nie potrafię sobie wyobrazić stołu zastawionego tym wielopiętrowym przecież serwisem. Człowiek patrząc na te porcelanowe cuda, chyba tracił ochotę na jedzenie, bo to samo w sobie było ucztą dla oczu.

Czy podczas swoich podróży widział pan remont, po którym zabytek stracił coś bezpowrotnie?

Nie. Do programu dobieraliśmy obiekty tak, żeby ominąć ten problem już na etapie dokumentacji. Staraliśmy się jechać tam, gdzie dobrze to wyglądało.

Ale książka jest szersza. Opisuje pan także miejsca, do których pojechał sam.

Tak, choćby Prabuty. Zamek jest ruiną. Lokalny historyk amator zrobił jego makietę i ustawił ją na jednym ze zrujnowanych skrzydeł. Opisałem przede wszystkim historię tego miejsca. Jest też niesamowita twierdza z epoki mykeńskiej koło Nowego Sącza. Na Górze Zyndrama pracują archeolodzy, więc nie ma miejsca na fantazje. Dr. hab. Marcin Przybyła to fenomenalny kustosz i gawędziarz. Opowiedział mi o swoim odkryciu tak, że sam poczułem się jak bohater Iliady. Podobnie Maria Bicz-Suknarowska i opiekunowie Morawicy ze strony Kościoła. Wiem, że nie zrobią temu obiektowi krzywdy. Wszędzie, gdzie jeździliśmy, wyglądało to dobrze. Na przykład w Świnach panowie Harkawy i Drogosz rozważali rekonstrukcję dolnego zamku. Architekci przygotowali projekty, wizualizacje, ale w pewnym momencie właściciele zmienili zdanie. Dostrzegli w tym, co jest takie piękno, że uznali: może lepiej nie ryzykować? A jeśli popełnią błąd albo zrobią coś, co za dziesięć czy dwadzieścia lat nie będzie już obowiązywało w historii sztuki? Na razie nie chcą odbudowy.

Który z pana rozmówców powiedział uczciwie, ile go to wszystko kosztowało, także poza pieniędzmi?

Każdy mówił uczciwie o pieniądzach. Przy dużych obiektach to są miliony złotych. Ktoś się przyznał, że wydał czterdzieści milionów. Ale mnie interesowało coś innego. Nie proces wydawania kasy. Z ratowaniem zabytków jest jak z przeszczepem organów. Ratując go, oddaje mu się całego. Część, po części. Sam chciałem kiedyś kupić gotycki zamek, wiele lat temu można to było zrobić za przysłowiową złotówkę. Takie było prawo. Nie zrobiłem tego, bo wiedziałem: co z tego, że kupię? Później trzeba obiekt ratować, a wtedy potrzebne są i pieniądze, i czas, i wszystko, łącznie z duszą. Którą trzeba oddać. Nie każdy proces ratowania przebiega łatwo. Czasami coś się zawali, ktoś coś przy remoncie spieprzy. Inni rzucają kłody pod nogi, jeszcze ktoś inny jest zazdrosny. Bywa, że ktoś kogoś nie lubi i działa po złości. Taka walka kosztuje. Zawały, wrzody, cholesterol, ciśnienie. Ludzie naprawdę ryzykują życie, żeby ratować zabytki.

Zamek Świny

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Trzeba też wytrwać przez lata, kiedy remont pochłania pieniądze, a efektów jeszcze nie widać.

Czasami nie widać nic, choć wydano już setki tysięcy, nawet miliony złotych. Ręce opadają. Przychodzi depresja, pojawiają się problemy między małżonkami, w rodzinach. Ilu osobom się nie udało? Pamiętam, w poprzednim programie, „Kup pan zamek", pojechaliśmy do pałacu, którego właściciel opowiedział, że decyzję o zakupie zabytku podjął razem z kilkoma innymi przyjaciółki. Każdy kupił sobie pałac. Po kilkunastu latach, w swoim pałacu został tylko on. On wytrzymał, oni nie. Wycofali się. Ktoś splajtował, ktoś dostał zawału, komuś po prostu przeszło. Nie udało się. On sam też zapłacił wysoką cenę. Zatem udało się w jednym na dziesięć przypadków.

Rozmawiał pan z właścicielami o tym, kto zajmie się zamkiem czy pałacem po nich?

To bardzo trudny temat. W książce akurat o tym nie piszę, ale wraca w prywatnych rozmowach. Właściciele, często już starsi państwo, mówią, że to dla nich – w jesieni życia - największe wyzwanie. Dzieci kontynuowanie pasji rodziców często kompletnie nie interesuje. Może zainteresuje wnuki, a może nie. I co w tedy? Poświęciło się zabytkowi całe życie, wszystkie pieniądze i emocje i nagle: o kurczę, co dalej? Nie ma dziedzica. Nie ma nikogo, kto to pociągnie. A przecież jeszcze trzeba coś dodać, naprawić. Szczęśliwi ci, którzy znaleźli w rodzinie kogoś gotowego kontynuować to dzieło. Żeby to robić, naprawdę trzeba rzucić wszystko inne. Ktoś jest muzykiem? Nie będzie już grał na skrzypcach. Chyba, że w walącej się komnacie. Musi poświęcić się ratowaniu i utrzymywaniu obiektu. Humanista czy matematyk musi się przekwalifikować, zostać zarządcą w dobrym znaczeniu tego słowa. Majordomusem, który kłóci się z chłopami, rolnikami, hydraulikami, używając nieparlamentarnych wyrazów. Każdy, kto coś remontował, wie, że nie są to spokojne chwile. Nie będę wymieniał obiektów, ale niektórzy ludzie właśnie z tego powodu gasną. Nie mają dziedzica i nie wiedzą, komu to zostawić. Przekazać w testamencie państwu polskiemu? Nie ma gwarancji, że państwo zaopiekuje się tym godnie. A co jak prezydent miasta czy burmistrz będą mieć to w nosie albo władzom lokalnym zabraknie środków?

Do którego z opisanych miejsc chciałby pan wrócić za dziesięć lat? Co chciałby pan wtedy zobaczyć?

Bardzo chciałbym wrócić do Saren, do Martina Sobczyka i zobaczyć, jak mu poszło. Pięknie odnowił już zamkową kaplicę, budynek bramny, budynek zarządcy, stajnie. Został główny, wielki budynek pałacowy oraz spichlerz, który ma być salą koncertową. Chciałbym też zobaczyć Świny. Czy panowie Harkawy i Drogosz wytrwają w zamierzeniu, aby nie odbudowywać zamku i zachować trwałą ruinę? Bardzo lubię Strugę państwa Wieczorków. Ten zamek, pałac – no, właśnie, jak go nazwiemy? - ma starą, gotycką część. Dwa lata temu właściciele odkuli arkady na dziedzińcu, których – gdy kręciliśmy program – jeszcze nie było. Pan Krzysztof wysłał mi niedawno zdjęcia tych odzyskanych arkad. To kompletnie odmieniło dziedziniec. Bardzo jestem ciekaw, jak pójdą im prace wewnątrz. Tam jest ruina, puste korytarze i komnaty, którymi dopiero trzeba się zająć. W Ciechanowicach już się to stało: wydobyto freski spod tynku, wyposażono wnętrza. W zasadzie jest już gotowe muzeum, już przyjmuje turystów. Aha, jeszcze jest Guzów Izabeli i Michała Sobańskich. To dopiero jest zagadka. Obok pałacu, w zasadzie tuż za płotem, ma się zaraz zacząć budowa CPK. Lotnisko będzie – jak wiadomo – gigantyczną inwestycją. Jak ono wpłynie na dalszą odbudowę pałacu? To arcyciekawe, bo sama bryła tego zabytku, jest zjawiskowa. Kto ma czas, zapraszam do lektury rozdziału o Guzowie a potem na wycieczkę. Nikt nie pożałuje! A jaka jest historia tego miejsca! Palce lizać.

Książka

Michał Wójcik
„Tańczący z zamkami. Czyli subiektywny przewodnik po zamkach, pałacach i dworach",
Wydawnictwo: Rebis

eprasa.pl c2b087826f

ZWIERZĘTA

FOT. ARCHIWUM

Srokatej maści hucułka, którą skradziono, nie może wrócić do właściciela. Tak zdecydował sąd

Jowitkę nieprawomocnie zasiedziano, bo nie wiadomo, czy jest Jowitką

Srokatej maści hucułka pomykała radośnie i w towarzystwie innych kopytnych po wybiegu w Zabratówce, dopóki w tajemniczych okolicznościach nie zniknęła. A kiedy po dwóch latach odnalazła się 50 kilometrów dalej, wywołała sądową wojnę, nawet o tym nie wiedząc. Sąd pochylił się nad dylematem, czy klacz należy do starego właściciela czy nowej właścicielki. I rozstrzygnął

Andrzej Pięs

Andrzej Czach kochał swoje konie i wierzy, że z wzajemnością. 20 km od Rzeszowa urządził im raj wielki na 6 hektarów, do którego dojeżdżał 2–3 razy w tygodniu, codzienną opiekę nad czworonogami powierzając zatrudnionemu pracownikowi. Był początek lutego 2021, kiedy na miejscu zastał Avirę, Okravię i Ozimą, ale srokatej Jowitki już nie. Kłódka od bramki w ogrodzeniu posesji leżała na ziemi. Po koniu zostały na śniegu ślady kopyt, prowadzące do drogi dojazdowej, którą prawie nikt, poza Czachem, nie jeździ, a na niej ślady opon. Kilka miesięcy wcześniej kręciło się tu dwóch młodych ludzi, których przegonił pytaniem, po co fotografują jego konie. Pierwsze skojarzenie: Jowitkę brutalnie uprowadzono.

– Natychmiast pojechałem do Rzeszowa na policję złożyć zawiadomienie o kradzieży – opowiada.

Policja zgłoszenie przyjęła, prokuratura wszczęła dochodzenie, by umorzyć je „wobec braku danych dostatecznie uzasadniających popełnienie czynu".

Czach na tę decyzję poskarżył się sądowi, sąd wziął stronę prokuratury, wyraziwszy przy tym przypuszczenie, że „koń uciekł z terenu posesji właściciela i został zaatakowany przez dzikie zwierzęta", nie precyzując czy chodzi o lwy, wilki czy stado wygłodniałych kojotów. Właściciel w duchu i z żalem pożegnał się z Jowitką, tracąc nadzieję na to, że jeszcze się zobaczą. Okres żałoby prawie minął, gdy po dwóch latach zadzwonił telefon. Pani spod Sieniawy, więc ok. 50 km od końskiego raju w Zabratówce, zapytała go, czy jest właścicielem Jowitki, bo ona ją kupiła, ale nie ma na zwierzę żadnych papierów.

– Ze znajomym pojechaliśmy do tej pani. Kiedy się spotkaliśmy, opowiadała, że pewnego razu pojawiło się u niej dwóch ludzi, którzy chcieli sprzedać jej konia, więc kupiła go za 500 złotych, ale bez dokumentów, bez paszportu, nawet umowy sprzedaży nie spisali. Kto tak robi przy kupnie rasowego konia wartego 8 tysięcy?

Andrzej Czach ujrzawszy Jowitkę uznał, że to Jowitka i postanowił konia odzyskać. Po dobroci się nie dało, nawet końskim targiem się nie dało, więc sprawa trafiła do sądu.

Sąd nad koniem

Jak zwierzę znalazło się po dwóch latach 50 kilometrów od domu, czyli stajni? I skąd pani spod Sieniawy wiedziała, że ma dzwonić akurat do Czacha, by ustalić co i jak? To po części wyjaśniło się przed Sądem Rejonowym w Przeworsku podczas batalii o prawa własności do zwierza.

Nowa właścicielka oświadczyła wymiarowi sprawiedliwości, że gdzieś tak w lutym albo marcu 2020 r. pojawili się u niej jacyś ludzie, którzy konia jej zostawili na przechowanie, bo ona prowadzi gospodarstwo razem z taką tymczasową przechowalnią dla zwierząt. Obiecali odebrać czworonoga za 2-3 tygodnie, nigdy nie wrócili. Podobnie jak inni, którzy zostawiali u niej kozy, barany, psy, a raz nawet osła.

– Myślałam, że ktoś kupił sobie konia jak zabawkę, trzeba konia karmić i to się okazało za trudne, więc go wywieźli – tłumaczyła sądowi. – Każdemu zwierzęciu bym pomogła, jakby była potrzeba. Ja traktowałam tego konia jak swojego, jako naszą Zuzkę.

Tym bardziej, że hucułka trafiła do niej w koszmarnym stanie zdrowia. Sporo pieniędzy kosztowało ją postawienie jej na wszystkich czterech kopytach.

I tak Jowitka po kres dni swoich zostałaby Zuzką, gdyby w 2023 r. nie zmieniły się przepisy, według których zwierzęta hodowlane trzeba rejestrować. Pani pofatygowała się do Okręgowego Związku Hodowców Koni w Rzeszowie, by dokonać formalności. Szef zwizytował Jowitkę Zuzkę, dwojga już imion, znalazł w zwierzu wszczepiony chip, komputer wypluł dane kopytnego, że Zuzka to w rzeczywistości Jowitka już zarejestrowana, z własnym końskim paszportem i właścicielem. Nie było tylko informacji, że koń został skradziony. O czym szef związku poinformował panią Stanisławę spod Sieniawy i właśnie stąd wiedziała, do kogo ma z problemem dzwonić i do kogo pojechać.

– Ja chciałam, żeby sprzedał mi papiery do konia – zeznawała przed sądem. Nawet dwukrotnie odwiedziła Zabratówkę, ale do transakcji nie doszło, wybuchła za to wojna sądowa. Pan Andrzej Jowitkę chciał odzyskać, pani Stanisława Zuzkę zatrzymać przez „zasiedzenie ruchomości" końskiej. Sąd musiał upewnić się, że Zuzka to na pewno Jowitka i na odwrót, dane z czipa nie były wystarczającym dowodem, biegli sądowi od koni nie potrafili na podstawie dostarczonych przez Czacha zdjęć Jowitki upewnić sąd, że to to samo zwierzę, które odnalazło się pod Sieniawą. Bo: zdjęcie nie mówi, jakiej płci jest zwierzę, poza tym z jednego profilu koń pozuje na fotografii, brak drugiego profilu na potwierdzenie tożsamości, Jowitka fotografowana zimą, kiedy zwierzę ma inną masę ciała. Jednym słowem – koń, jaki jest, nie każdy widzi, a biegli szczególnie. Nawet, jeśli pstrokacizny w umaszczeniu Jowitki – Zuzki są nader charakterystyczne. Złodziei Jowitki organy ścigania nigdy nie znalazły, dwóch ludzi, którzy dostarczyli Zuzkę pod Sieniawę, nawet nie szukały. Sąd też nie zaprzątał sobie nimi głowy.

Jowitka zdechła, niech żyje Zuzka

Po trzech latach sądowej batalii o tożsamość zwierzęcia przeworski sąd orzekł, że hucułka należy się pani Stanisławie przez zasiedzenie, choć w treści wyroku wyraźnie nazywa ją Jowitką i nawet podaje niepowtarzalny dożywotni numer z czipa.

Pan Andrzej zaprotestował: przecież pani składając w sądzie wniosek o zasiedzenie, miała pełną świadomość, że Jowitka została uprowadzona, że toczy się śledztwo w sprawie tej kradzieży, a o tym wszystkim wiedziała od niego. Wobec tego nie ma mowy o żadnym zasiedzeniu w dobrej wierze.

– Wnioskodawczyni skontaktowała się z uczestnikiem i zaproponowała odkupienie dokumentów konia – podkreśla sąd w uzasadnieniu postanowienia. – Po przyjeździe do gospodarstwa i obejrzeniu zwierzęcia uczestnik zażądał wydania konia. Wnioskodawczyni odmówiła wskazując, że traktuje zwierzę jako swoją własność i nie zamierza się go pozbywać.

A w ogóle to sama chciała pierwotnie kupić od pana Andrzeja „papiery na konia", tym bardziej o dobrej wierze nie ma mowy, co z kolei on podkreśla.

Innego zdania był sąd:

– Wnioskodawczyni działała w dobrej wierze, pozostając w usprawiedliwionym przekonaniu, ze zwierzą zostało porzucone i nie posiada właściciela (skoro wyzbył się własności rzeczy przez porzucenie) – uznał przeworski sąd. – Przekonanie to było racjonalne w świetle okoliczności sprawy – koń został przywieziony przez nieznane osoby, które nie podały swoich danych i nie powróciły po jego odbiór, a stan zdrowia konia wskazywał na wcześniejsze, długotrwałe zaniedbania i skrajne wyczerpanie.

I na tej podstawie wymiar sprawiedliwości orzekł w kwietniu br., że pani Stanisława stała się właścicielką hucułki.

Tego pan Andrzej wymiarowi sprawiedliwości darować nie może i z werdyktem pogodzić nie zamierza. Odwołał się od tej decyzji do Sądu Okręgowego w Przemyślu. I od razu „z kopyta":

– Przyjęcie konia od nieznanych osób, które nie zostawiły żadnych danych i nigdy nie wróciły, powinno wzbudzić u przeciętnej osoby podejrzenie co do legalności pochodzenia zwierzęcia – zwraca uwagę za zachowanie swojej przeciwniczki procesowej. – Koń nie jest rzeczą porzuconą jak stary mebel, w Polsce konie muszą posiadać paszporty i być zarejestrowane w bazie.

I podpowiada przemyskiemu sądowi, że takie zachowanie można potraktować jako „przestępstwo paserstwa nieumyślnego", co już zalatuje kryminałem, bo przecież pani spod Sieniawy przyjęła od niezidentyfikowanych wciąż dwóch NN za Jowitkę 500 zł. A fakt, że śledztwo w sprawie kradzieży konia zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców nie znaczy, że kradzieży nie było – dodaje.

– Czekam na termin rozprawy przed sądem w Przemyślu – mówi nieprawomocnie były właściciel srokacza. – I mam nadzieję, że za jego sprawą Jowitka do mnie wróci, bo mnie ciężko o niej zapomnieć, a liczę na to, że i ona o mnie wciąż pamięta. ©℗

eprasa.pl c2b087826f

GWIAZDA TYGODNIA

Katarzyna Zielińska: Najważniejsze to mieć marzenie i próbować wcielić je w życie

Właśnie oglądamy ją jako prowadzącą program „Europa da się lubić. Nowe pokolenie". Gra też jedną z głównych ról w serialu „Zaraz wracam". Nam Katarzyna Zielińska opowiada, że to jednak teatr jest jej największą miłością

Paweł Gzyl

Kiedyś powiedziała pani w jednym z wywiadów: „Podróże mnie uskrzydlają". Gdzie pani najchętniej wyjeżdża?

Ostatnio najchętniej wyjeżdżam z moimi bliskimi do Azji. Najbardziej lubię Singapur, ale z przyjemnością zwiedzam też Japonię. Odkrywam również mniej znane kraje, jak Butan czy Laos. Czyli pełna egzotyka.

A Europa jest dla pani interesująca?

Bardzo. Mam i tutaj ukochane zakątki: Grecję, Włochy, Portugalię. Czyli południe kontynentu. Ale bywam też w Niemczech, bo mam tam bliską przyjaciółkę i ten kraj kojarzy mi się z nią. Europa jest bardzo zróżnicowana pod względem architektury, ludzi czy kuchni, więc nie można się nią znudzić. Generalnie bardzo lubię podróżować, spotykać nowych ludzi i podziwiać świat.

Czyli nie trzeba było panią długo namawiać, aby została pani prowadzącą program „Europa da się lubić. Nowe pokolenie"?

Dziś wiemy już dużo o Europie, bo często podróżujemy do tworzących ją krajów. Musiałam więc sobie przemyśleć, jak chciałabym to zrobić i czy chcę być nową prowadzącą po tak kultowej edycji sprzed dwóch dekad. Ale propozycja ta przyszła do mnie w dobrym momencie. Zawierzyłam swojej intuicji, że będzie to skumulowanie tego wszystkiego, co kocham – podróży i rozmów z ludźmi. Dłuższą chwilę się zastanawiałam, ale w końcu powiedziałam „tak".

Program „Europa da się lubić" miał niegdyś przybliżać Polakom kraje Unii Europejskiej. Czy dziś to nadal jest potrzebne?

Myślę, że tak. Dziś patrzymy na Europę pod nieco innym kątem. To niby stary kontynent, ale ciągle się rozwija i coraz chętniej po nim podróżujemy. Również nasza Polska wygląda zupełnie inaczej niż dwadzieścia lat temu. Ci obcokrajowcy, których znam, mówią: „Wow! To zupełnie inny kraj. Kochamy tu mieszkać!". Nic dziwnego – przecież Polska bardzo zmieniła się od momentu wejścia do Unii Europejskiej. Z roku na rok po prostu pięknieje. Dzięki funduszom europejskim mogliśmy przez te lata wiele zrobić. Ale choć integrujemy się z resztą Europy, ostatnio coraz chętniej wracamy do dawnych tradycji. Doceniamy ludowe obrzędy, tradycyjne jedzenie, korzenną kulturę. Teraz to wszystko jest w cenie, więc warto to pokazywać. Ja pochodzę z Małopolski i bardzo bliska jest mi tamtejsza tradycja: od śpiewów, przez tańce, po haft. Jestem więc miejscową patriotką.

Program ma dopisek „Nowe pokolenie". Czy ci młodzi ludzie, którzy dorastali w zjednoczonej Europie, są inni niż ci, którzy dorastali w tej podzielonej granicami?

Na pewno. Są pewne rzeczy, które odeszły w przeszłość. Podczas odcinka o muzycznej tematyce okazało się, że młodzi uczestnicy nie wiedzą, co to jest kaseta magnetofonowa, bo dzisiaj słuchają muzyki w telefonie. Ale to nowe pokolenie jest ciekawe tego, jak dawniej bywało. Dzięki temu młodzi ludzie bardziej doceniają to, co dzisiaj jest. „Nie ma granic, więc się łatwiej podróżuje. Kiedyś trzeba było mieć paszport, teraz nie jest nam potrzebny" – przyznają. I fajnie jest patrzeć na ich podziw dla tych zmian. Do tego dochodzi internet, szybszy przepływ informacji, media społecznościowe. Za naszych czasów było trochę inaczej. Żyło się wolniej, może trochę uważniej, nie byliśmy tak bombardowani informacjami i nie poddawaliśmy się tak łatwo różnym manipulacjom. Mam w programie kilkoro młodych ludzi, choćby Elenę z Grecji czy Vincenta z Niemiec. I to zupełnie inne pokolenie. Dla nich historie o tym, jak szło się na pocztę i zamawiało rozmowę za granicę, to kompletna egzotyka. Dlatego ciekawi ich to i śmieszy.

W programie pojawiają się coraz to nowi uczestnicy z różnych krajów. Jak oni czują się w Polsce?

Bardzo dobrze. I to jest wspaniałe. Kiedy słucham, jak opowiadają o naszym kraju, zawsze mam przysłowiowego banana na twarzy. Często mówią o Polsce „w moim kraju", a pochodzą z Czech czy z Niemiec. Ostatnio jeden z uczestników opowiadał, że kiedy wraca z jakiejś podróży do Polski, to czuje, że wjeżdża do swojej drugiej ojczyzny. To naprawdę wzruszające. Bardzo im się dobrze u nas żyje i przez ich opowieści widzowie mogą bardziej docenić Polskę. Że to piękne miejsce na mapie Europy, które w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo urosło w siłę. Choćby Warszawa – dziś jest cudowna, zielona, zadbana. Kiedy nagrywaliśmy odcinek o architekturze, gościem był rysownik Henryk Sawka i dywagowaliśmy, czy Pałac Kultury to zabytek. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że to kawał naszej historii, której nie wolno zniszczyć.

Obecna edycja „Europa da się lubić" ma charakter teleturnieju. To dobry pomysł?

Myślę, że tak. To różni obecną edycję od poprzedniej. Każdy odcinek poświęcony jest innemu tematowi, pojawiają się kolejne konkurencje, przyznawane są punkty. Taka rywalizacja sprzyja zabawnym historiom i sytuacjom.

Ma pani swoich faworytów, za których trzyma pani kciuki?

Nie. Wszystkich uwielbiam i wszystkim kibicuję. Jesteśmy zgraną drużyną. Wszyscy są świetnie dobrani i występują w fajnych konfiguracjach. Dlatego każdy odcinek jest zabawny i szalony. Do tego zawsze mamy gości specjalnych, jak Helena Vondraćkova, Ewa Kasprzyk, Krzysztof Hołowczyc czy wspomniany Henryk Sawka. Cieszę się więc, że w każdym odcinku jest ciekawie i wesoło.

Musi pani panować nad uczestnikami, rozmawiać z gośćmi, a czasem nawet śpiewać i tańczyć. Prowadzenie takiego programu to duże wyzwanie?

Na pewno. Staram się przede wszystkim jak najlepiej zadbać o gości. Do tego na słuchawce w uchu mam reżysera, który prowadzi mnie, abyśmy zmieścili się w konkretnych ramach czasowych. Ostatnio mówiłam nawet produkcji, że „Europa da się lubić" to przyjemny dodatek do mojego aktorstwa. Oczywiście bardzo wymagający, bo wychodzę po dwunastu godzinach nagrań bardzo zmęczona. Ale bardzo się cieszę, że podjęłam decyzję, aby prowadzić ten program.

Aktorskie doświadczenie przydaje się pani podczas nagrań do „Europa da się lubić"?

Myślę, że tak. Czasem trzeba bowiem improwizować, a jako aktorka teatralna mam z tym do czynienia na scenie. Ot, ktoś z kolegów wysypie się z tekstem i trzeba coś na poczekaniu zaimprowizować, aby go naprowadzić na właściwe tory. Nie inaczej jest tutaj. Co jakiś czas pojawiają się nieprzewidziane sytuacje i trzeba na nie na gorąco sprawnie zareagować.

Pani wielbiciele mają dylemat, bo w tym samym czasie, co „Europa" na Dwójce, na Jedynce jest „Zaraz wracam", gdzie gra pani jedną z głównych ról. Jak to pogodzić?

Niestety, to już nie ode mnie zależy. Całe szczęście „Zaraz wracam" jest też emitowany w sobotnie popołudnie. Na razie można jedno obejrzeć na żywo, a drugie nagrać i obejrzeć później. Do wyboru, do koloru.

Na pewno ucieszyło panią, że w nowym sezonie „Zaraz wracam" grana przez panią postać wychodzi na pierwszy plan. To pani zasługa?

Ależ skąd! Kompletnie nie wiedziałam, jaki będzie scenariusz nowej serii. Kiedy zadzwonił do mnie producent i powiedział, że będę w niej burmistrzynią, byłam tak samo zaskoczona, jak propozycją poprowadzenia „Europa da się lubić". (śmiech) Żadna więc w tym moja zasługa, ale cieszę się, że moja bohaterka może dowodzić całym miastem. Ostatnio pewna pani, która przyglądała się, jak kręcimy, powiedziała: „Fajnie by było mieć taką burmistrzynię w swoim mieście". To piękny komplement dla postaci, którą tworzę. Byłam więc zaskoczona takim zwrotem akcji, ale bardzo na plus.

Renata Sikora zostaje panią burmistrz i potrafi czasem podjąć męską decyzję. Lubi pani grać takie silne kobiety?

Oczywiście. Cieszę się, że scenarzyści piszą mi taką zdecydowaną i konkretną bohaterkę. Renata ma jednak wrażliwe wnętrze i jest wyczulona na drugiego człowieka.

„Zaraz wracam" to niby obyczajowy serial, ale z lekko komediową nutą. Dobrze się pani czuje w takiej konwencji?

Tak. Konwencja komedii jest mi zawsze bliska. Lubię czasem dodawać takiej zabawnej pikanterii mojej postaci, kiedy reżyser pozwala nam, kończąc scenę, trochę zaimprowizować. Szczególnie udaje się to z Pawłem Koślikiem, który gra Fazę.

Komedia to pani żywioł – zarówno w filmie i serialu, jak również w teatrze. Z czego to wynika?

Już w szkole teatralnej w Krakowie ciągnęło mnie w tę stronę. Może dlatego, że wychowałam się na dobrych kabaretach literackich, w których inteligentny żart towarzyszy dowcipnej piosence. To były spektakle reżyserowane przez Krzysztofa Jaślara, wywodzącego się przecież z Kabaretu Tey. Z kolei Włodzimierz Korcz uczył mnie kabaretowej piosenki – dobrze zaśpiewanej i nieprzerysowanej w interpretacji. W teatrze moimi nauczycielami komedii byli natomiast Jurek Bończak i Andrzej Strzelecki, choćby w „Złym zachowaniu". To była naprawdę wspaniała szkoła. Dzięki temu wiem, że aby komedia była śmieszna, to nie aktorzy mają się dobrze bawić, ale widzowie. My mamy jak najlepiej podać tekst i jak najlepiej poprowadzić postać.

Ma pani w swym dorobku również dramatyczne role, choćby w serialu „Zawsze warto". To była ciekawa odmiana od tych komediowych występów?

Bardzo. Dorota Zima to kobieta, która doświadczała przemocy psy-

eprasa.pl c2b087826f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Katarzyna Zielińska: Nasza Polska wygląda zupełnie inaczej niż dwadzieścia lat temu. Ci obcokrajowcy, których znam, mówią: „Wow! To zupełnie inny kraj. Kochamy tu mieszkać!"

chicznej i fizycznej. Sporo mnie emocjonalnie kosztowało budowanie takiej postaci. Ale przecież o to chodzi w aktorstwie.

Częściej chyba takie role gra pani w teatrze niż w filmie?

Tak. Przykładem może być spektakl „Aniołki Mussoliniego", który wyprodukowałam dla Teatru Roma. Opowiada on o trzech siostrach Żydówkach, które podczas wojny zostały zmuszone do tego, by śpiewać dla faszystowskiego przywódcy. Gram jedną z nich i to jest rola, którą trzeba było stworzyć na dramatycznej nucie. To piękny spektakl o ludzkich wyborach, ich późniejszej ocenie, o wojnie, o polityce, o trudnych czasach. Przy okazji mogę sobie również pośpiewać.

Gra pani cały czas w teatrze i pani teatralne role to nie tylko komedie i farsy, ale też musicale, dramaty, a nawet monodram. To właśnie teatr przynosi pani aktorskie spełnienie?

Tak. Teatr przynosi mi spełnienie i ukojenie. To podstawa mojej pracy. W teatrze nigdy jeden spektakl nie jest podobny do drugiego. A ja lubię, gdy nigdy nie jest tak samo. Wszystko się dzieje raz, nic nie można powtórzyć, za każdym razem przychodzi inna publiczność. W teatrze spotykam się na jednej scenie ze wspaniałymi kolegami i koleżankami po fachu, jak również z całym pionem technicznym czy z garderobianymi. To osobny świat, który ma swoją magię. Zachwyciłam się nim już w Akademii Teatralnej w Krakowie. Oczywiście jedni lubią bardziej film czy serial, dla mnie to jednak teatr jest esencją zawodu aktora.

Zagrała pani już chyba we wszystkich warszawskich teatrach.

(śmiech) To prawda. Mam na liście Teatr Komedia, Teatr Syrena, Teatr Rampa, Teatr Roma, Teatr Capitol, Teatr Kwadrat i Teatr Kamienica. Ostatnio nawet mówiłam w Kwadracie, gdzie pojawiam się gościnnie, że fajnie jest wrócić do tego zespołu po dziesięciu latach i zobaczyć znów te same twarze, tych samych aktorów, tę samą ekipę. Choć, niestety, niektórych postaci już z nami nie ma.

W każdym zespole czuje się pani jak u siebie?

Tak. Poza tym, kiedy zgadzam się realizować jakiś projekt, to wybieram miejsca, w których jest mi dobrze tak zwyczajnie i po ludzku. Tata zawsze mi mówił, żeby przyciągać dobrych ludzi, a do tych, którzy nie życzą mi najlepiej, odwracać się plecami i robić swoje. I myślę, że to jest moje życiowe motto. Kierując się tą zasadą, jest mi lepiej: idę po swoje, mam swój własny dekalog i nim się kieruję.

Od kilku lat produkuje pani też spektakle teatralne. Jaki ma pani przepis na artystyczny i kasowy sukces przedstawienia?

Nigdy nie produkuję spektaklu tylko po to, aby odnieść kasowy sukces. Najważniejsze to mieć marzenie i próbować wcielić je w życie zgodnie z sercem. Wtedy widzowie widzą, że to jest uczciwe i przyjdą do teatru. To jest mój przepis. Nigdy nie wymyślałam jakiegoś projektu tylko po to, żeby na nim zarobić. Zapraszam do współpracy reżyserów, aby wspólnie zrobić coś, w czym wcześniej nie miałam okazji się pokazać, a w czym bym chciała zagrać. Mam przecież swoje aktorskie marzenia: ludzi, z którymi chciałabym pracować, czy emocje, które chciałabym pokazać na scenie. I w ten sposób staram się je spełniać.

Największym plusem pracy producentki jest to, że może pani zagrać główną rolę w produkowanym przez siebie spektaklu.

To tak nie działa. Przekazując scenariusz reżyserowi, zawsze daję mu wolną rękę co do obsady, również pod kątem mojego aktorskiego udziału w przedstawieniu. Nigdy nie mówię: „Ty to zrobisz, ale ja muszę w tym zagrać". Zdaję się na reżyserski talent i w pełni mu się oddaję, kiedy zbiorę fundusze i podpiszę wszystkie umowy.

Trudno było pani odważyć się na wyprodukowanie pierwszego przedstawienia?

Chyba tak. To był 2012 rok i spektakl „Berlin. Czwarta rano", w którym główną rolę grał Kacper Kuszewski. Bardzo się bałam, ale zamknęłam oczy i pomyślałam: „Teraz jest ciężko, ale za trzy miesiące czy pół roku będzie piękny spektakl, będziemy grać, przyjdą ludzie, będziemy się kłaniać, będą oklaski". Uznałam, że jeśli sama się nie wezmę za spełnianie swoich marzeń, to nikt ich nie spełni za mnie.

Z którego spektaklu jest pani najbardziej dumna?

Z wszystkich. Nie mam jednego ulubionego.

A ja myślałem, że pani powie, że ze wspomnianych „Aniołków Mussoliniego".

No tak, to mój najważniejszy projekt, jeśli chodzi o rozmach i o ilość włożonej pracy. Ale w pozostałe włożyłam niemal równie dużo serca i nerwów. Żeby to wszystko złożyć, trzeba było podjąć za każdym razem wielką odpowiedzialność, bo było ogromne ryzyko. Dlatego żadnemu nie umniejszam – każdy był dla mnie wyjątkowy.

Czy te teatralne doświadczenia sprawiają, że mogłaby pani teraz wyprodukować film?

Myślę, że mogłabym. To są jednak dużo większe pieniądze. Na razie wszystko jest w planach. Puzzle powoli się składają. Przede wszystkim muszę poczekać na wolne terminy aktorów, których chciałabym zaangażować. Więcej nie powiem, bo nie chcę zapeszać.

Pani mąż pracuje w branży finansowej. Służy pani radą w tych produkcyjnych przedsięwzięciach?

Na pewno służy radą i pomaga w prowadzeniu tabelek w Excelu, żeby się wszystko zgadzało. (śmiech) Natomiast bardzo mnie irytuje, kiedy słyszę, jak ktoś mówi do mnie: „Pani mąż jest biznesmenem i na pewno wszystko finansuje". Bo tak się nie dzieje. Każde z nas pracuje w totalnie innej branży i pracuje na swój własny sukces. Oczywiście kibicujemy sobie bardzo nawzajem i to jest wspaniałe. Nie lubię natomiast, kiedy ktoś mnie w taki sposób podsumowuje, bo to bardzo umniejsza mojej pracy.

Kiedyś często oglądaliśmy panią w różnych telewizyjnych talent-shows: od „Tańca z gwiazdami" po „Twoja twarz brzmi znajomo". Dziś już panią to nie interesuje?

To już mam za sobą, nie chcę do tego wracać. To był fajny czas w moim życiu – nie miałam dzieci, mogłam sobie pozwolić na częstsze wyfruwanie z domu, wracanie późną nocą po nagraniach. Dzisiaj jest inaczej. Dzieci szybko rosną, a ja nie chcę niczego przegapić w ich życiu. Wolę im czytać książki na dobranoc i tulić przed snem niż brać udział w takich programach. Bo to rodzina jest w życiu najważniejsza.

Pochodzi pani ze Starego Sącza, pani mąż również. Często wracacie w tamte strony?

Staram się jak najczęściej. Oboje mamy tam rodziny, więc mamy kogo odwiedzać. Ale działa to też w drugą stronę. Teraz właśnie wyszłam na spacer, bo przyjechał do mnie tata i zajmuje się chłopakami. W Starym Sączu mam połowę serducha i to się nie zmieni.

Synowie mają w sobie góralską krew?

Tak. Obaj uwielbiają jeździć w nasze rodzinne strony. A ja niedawno zostałam honorową członkinią Towarzystwa Miłośników Starego Sącza, zawsze podkreślam więc swoje przywiązanie do tamtych stron. Ostatnio nawet podczas nagrań do „Europa da się lubić" usłyszałam: „Nie mów tak często o tym Starym Sączu. Już wszyscy wiedzą, że stamtąd jesteś. Będziemy musieli to wyciąć, bo program zrobi się za długi". „Ale to dla mnie ważne. I przynajmniej sobie powiedziałam" – pomyślałam.

eprasa.pl c2b087826f

HISTORIA

Reinhold Messner filozofuje na szczycie Lhotse

16 października 1986 r. włoski himalaista Reinhold Andreas Messner wszedł na szczyt Lhotse. To był ostatni z ośmiotysięczników, by zdobyć Koronę Himalajów i Karakorum

Mariusz Grabowski

FOT. CC

Dziś 82-letni Reinhold Messner mieszka z rodziną w swoim Zamku Juval

Messner wspiął się na ten szczyt na pograniczu Nepalu i Chin, zdobywając ostatni z brakujących ośmiotysięczników. Uczyniło go to pierwszym człowiekiem w historii, który zdobył Koronę Himalajów i Karakorum.

Wejść na 8516 m

Tamtego dnia Messner miał 42 lata i był u szczytu formy i powodzenia. Jego metoda zdobywania szczytów solo oraz bez dodatkowego tlenu z butli, wytworzyła wokół niego prawdziwą legendę herosa wspinaczki. Ale akurat przekonanie, że zawsze wspina się sam, nie było do końca prawdą.

Na Lhotse wszedł bowiem razem z Niemcem Hansem Kammerlanderem, podobnie jak to było w przypadku sześciu innych ośmiotysięczników. Dopiero po Lhotse ich drogi rozeszły się ostatecznie.

Lhotse, szczyt, na który weszli razem w 1986 r., ma wysokość 8 516 m n.p.m. i jest czwartym co do wysokości szczytem Ziemi. Natura umieściła go w środkowej części Himalajów Wysokich. Jego południowa ściana, licząca ponad 3 tys. m, jest jednym z największych urwisk ścianowych w Himalajach. Na tejże ścianie 13 lat później zginął polski himalaista Jerzy Kukuczka.

Jaki cel wypraw

Messner nie był pierwszym zdobywcą Lhotse – przed nim pojawiła się na tym szczycie armia himalaistów. Pierwsi zjawili się Ernst Reiss i Fritz Luchsinger w maju 1956 r., a potem kolejni, głównie Niemcy i Austriacy. Ale byli też Polacy – 4 października 1979 r. na Lhotse weszli Andrzej Czok, Jerzy Kukuczka, Zygmunt Andrzej Heinrich i Janusz Skorek. Ostatni z Polaków – Piotr Krzyżowski – zdobył ten szczyt 21 maja 2024 r. Bez użycia tlenu z butli i bez wsparcia Szerpów.

Messnerowi Lhotse potrzebna była raczej do ukoronowania kariery. Spełniła bowiem jego sny o zdobyciu Korony Himalajów i Karakorum, czyli wszystkich 14 ośmiotysięczników świata. Czasem myli się tę Koronę z Koroną Ziemi, którą stanowią najwyższe szczyty górskie poszczególnych kontynentów.

Dla porządku wymieńmy owe 14 ośmiotysięczników: Mount Everest – 8848 m n.p.m.; K2 – 8611 m; Kanczendzonga – 8586 m; Lhotse – 8516 m; Makalu – 8463 m; Czo Oju – 8201 m; Dhaulagiri I – 8167 m; Manaslu – 8156 m; Nanga Parbat – 8126 m; Annapurna I – 8091 m; Gaszerbrum I – 8068 m; Broad Peak – 8047 m; Gaszerbrum II – 8035 m oraz Sziszapangma – 8027 m.

Stojąc w przestworzach

W „Wędruję, aby żyć. Listy z Himalajów", jednej ze swoich blisko 50 książek (jedna z nich, „Naga Góra. Nanga Parbat – brat, śmierć i samotność", powstała po śmierci jego młodszego brata Günthera, który zginął pod lawiną w 1970 r.), Messner opisał także zdobywanie Lhotse. „Miałem szczęście – czytamy w niej – przeżyć więcej niż pięćdziesiąt ekspedycji himalajskich. Wyostrzyło się przy tym moje spojrzenie na proces przemiany zachodzący we wspinaniu".

O tamtej wyprawie sporo jest także w tomie „Moje życie na krawędzi, autobiografia w rozmowie z Thomasem Hüetlinem". To tam znajdujemy wspomnienie o tym, co myślał, stawiając stopę na ostatnim 14. zdobytym ośmiotysięczniku.

Co zatem przychodzi do głowy himalaiście na takiej niebosiężnej wysokości? Ot, choćby taka myśl: „Wszystkie pustynie tego świata ostatecznie zawsze znajdują się tylko w nas samych". Albo „W niepowodzeniu bowiem dowiadujemy się o naszej granicy. Dlatego jest ono mocniejszym doznaniem niż sukces. Wejście na wierzchołek znaczy osiągnąć to i nic więcej. Po tym fakcie cel znika. W przypadku niepowodzenia cel pozostaje".

Ułatwili sobie?

Czy te górnolotne myśli oddają klimat zdobywania Lhotse? W niewielkim stopniu, są to raczej przemyślenia pisane w zaciszu gabinetów, już po fakcie. Wyprawa odbywała się bowiem w ekstremalnie trudnych warunkach pogodowych – Messner i Kammerlander szczyt osiągnęli w trakcie potężnej lodowatej śnieżycy. Do tego w piekielnych temperaturach, powyżej 6000 m nocami słupki rtęci spadają tam do poziomu -30°C.

Co ciekawe, jak sam Messner przyznawał wielokrotnie w wywiadach, jesienią 1986 r. działał pod presją czasu oraz uciekającego okna pogodowego. Aby zdążyć przed nadejściem zimy, zdecydowali się z Kammerlanderem na nietypowy krok logistyczny – przelot śmigłowcem bezpośrednio z bazy pod Makalu do bazy pod Lhotse. Wzbudziło to w środowisku himalaistów sporo uwag i dość nieprzychylnych im komentarzy.

Dwa lata później, w 1988 r. na Olimpiadzie w Calgary, Messner został odznaczony srebrnym medalem olimpijskim (razem ze swym wieloletnim rywalem Jerzym Kukuczką) „za zasługi sportowe", ale odmówił przyjęcia odznaczenia.

Sprawa ambicji

Wróćmy jeszcze na chwilę do sprawy śmierci Günthera Messnera na Nanga Parbat. Bracia osiągnęli wówczas wierzchołek dziewiątej góry świata, jednak podczas zejścia, w czasie szalejącej przez kilka dni burzy, lawina porwała Günthera. Reinhold był wycieńczony i poobijany, a już po zejściu z Nanga Parbat lekarze amputowali mu siedem palców.

Przez kolejne 35 lat nie ustawał w poszukiwaniu ciała brata, odpierając ataki na swoją osobę ze strony dawnych współtowarzyszy wyprawy, jakoby wysłał Günthera na pewną śmierć trudniejszą trasą. Max von Kienlin, uczestnik tamtej ekspedycji, tak pisał w „Śmierci na Nanga Parbat", książkowej relacji z wyprawy: „Sposób, w jaki – zgodnie z jego własnymi relacjami – podczas zejścia w dolinę Diamir pozostawił go (Günthera) o prawie dwie godziny w tyle (co z wliczeniem powrotu w miejsce wypadku oznacza blisko cztery godziny!), uważam za jeszcze bardziej obciążający, a wręcz nieodpowiedzialny".

Sprawa wyjaśniła się dopiero w 2005 r., kiedy za sprawą wysokich temperatur odnaleziono wytopione spod śniegu ciało Günthera. Potwierdziły to badania DNA. Fakt, że szczątki odnaleziono po stronie lodowca Diamir, świadczy o tym, że Reinhold od początku mówił prawdę o tym, że bracia schodzili razem.

Polityk i muzealnik

Po wycofaniu się z czynnego alpinizmu w latach 90. Messner zajął się działalnością społeczną oraz politykowaniem. W latach 1999-2004 był posłem do Parlamentu Europejskiego V kadencji z ramienia Federacji Zielonych. Należał do grupy Zielonych i Wolnego Sojuszu Europejskiego. Pracował m.in. w Komisji Spraw Zagranicznych, Praw Człowieka, Wspólnego Bezpieczeństwa i Polityki Obronnej. Nie ukrywa swojej zamożności: w 2006 r. rozpoczęło działalność koordynowane przezeń muzeum górskie w Południowym Tyrolu – Messner Mountain Museum.

Jego celem jest – jak czytamy w statucie – „przybliżenie odwiedzającym historii i charakteru alpinizmu, a także nauki na temat gór i lodowców". Muzeum posiada sześć oddziałów, z których główny mieści się w Zamku Sigmundskron, w okolicy Bolzano. Z kolei piąty oddział ma siedzibę w innym malowniczym miejscu – na Zamku Bruneck. Prezentowane są zbiory dotyczące góralszczyzny, czyli ludzi żyjących na obszarach górskich na całym świecie.

„Jeszcze żyję"

W 2023 r., w związku z przyjęciem nowej lokalizacji szczytu Annapurny, autorzy Księgi rekordów Guinnessa uznali, że Koronę Himalajów i Karakorum jako pierwszy zdobył nie Reinhold Messner, lecz Amerykanin Ed Viesturs. Himalaista oraz Hans Kammerlander zgodnie skrytykowali tę decyzję, choć bez większego skutku.

Dziś 82-letni Reinhold Messner mieszka z rodziną w swoim Zamku Juval (jeden z oddziałów Messner Mountain Museum) i prowadzi, jak sam mawia, „spokojne rolnicze życie". Poza odczytami i prelekcjami, z którymi jeździ po całym świecie, hoduje jaki i prowadzi winnicę. Zbiera też statuetki Buddy, młynki modlitewne, a także animistyczne maski.

Co uważa za swój największy sukces? „Górskich wypraw zrobiłem około 30 i zaledwie połowa z nich zakończyła się sukcesem, ale z perspektywy czasu muszę przyznać, że właśnie porażki nauczyły mnie najwięcej. A największym moim sukcesem jest to, że jeszcze żyję" – powiedział w wywiadzie, który został zarejestrowany podczas XI Dni Lajtowych z Polskim Klubem Alpejskim w listopadzie 2010 r. w Nosalowym Dworze w Zakopanem.

eprasa.pl c2b087826f

LITERATURA

Poetka i książę, Kikimora i redaktor, panienka i mędrzec, czyli listy Osieckiej i Giedroycia

Poetka i książę. Kikimora i redaktor. Panienka i mędrzec. Pulsująca zmysłowością, pełna kokieterii, skrząca błyskotliwą żarliwością i narastającą namiętnością wymiana słów, myśli i niedopowiedzeń. Przez lata relacja Agnieszki Osieckiej i Jerzego Giedroycia była przedmiotem spekulacji, plotek i śmiałych interpretacji

Agnieszka Osiecka, Londyn, 2 X 1957

Rzeczą, której chyba najbardziej nie umiem ze wszystkich rzeczy, których nie umiem – jest napisanie listu do Pana.

A jednak piszę, bo chcę jeszcze raz powiedzieć „dziękuję" za to, że Pan był w Londynie.

I za to, że był Pan właśnie taki, jaki Pan był.

Drugi pilny interes jest następujący: proszę mi natychmiast (tego słowa nauczyłam się od Pana) przysłać spis wszystkich tych zakupów, których nie załatwiliśmy w Londynie. Koniecznie (mój adres jest 44 Cathcart Rd, Londyn SW10).

Agnieszka

A ta marynarka jest ładna, naprawdę.

Oda do Blacka

Piesku pogodny i dobry coś
nigdy nikogo nie pogryzł!
Choć nie wypada przy święcie
narzekać, płakać i pleść, lecz nim do wilii siądziesz – pomyśl (boś mądry jest pies) – że tęsknię, Blacku mój złoty, że brzydnę z tej wielkiej zgryzoty i czekam na parę Twych łez. (Bo nie wie ni człek ni pies, jak smutno bez Ciebie mi jest). I sonet niezdarny, i rym – tak dużo tych smutków jest w nim, lecz zawsze ta sama w nich mieszka
Twoja, mój Blacku,
Agnieszka

Jerzy Giedroyć, 7 października [1957]

Miła Panno Agnieszko,

To ja bardzo dziękuję za „Londyn". Trudno mi nawet powiedzieć, jak nie chciało mi się wyjeżdżać. Pocieszam się tylko, że niedługo będzie Pani w Paryżu i że będzie okazja do poflanowania po Paryżu. Dobrze? Jakoś się konspiracyjnie wykłamiemy przed „opinią" Maison-Laffitte . Wszystko byłoby o ileż przyjemniejsze, gdyby nie cień melancholii. Tymczasem Pani „ludzik" bardzo mi pomaga i bardzo go polubiłem. Zastanawiam się tylko (i przyglądam mu się podejrzliwie), do jakich nowych głupstw i szaleństw mnie namówi. Wszystkie amulety mają na mnie wpływ wprost destrukcyjny. [...]

Wierszyk o Blacku przyjąłem entuzjastycznie, Black raczej chłodno. Ma do mnie żal za niezrozumienie jego problemów. Interesuje się polityką i jest wielbicielem Andersa ,

FOT. NAC

Agnieszka Osiecka przez lata korespondowała z jerzym Giedroyciem, założycielem paryskiego Instytutu Literackiego

a przy śniadaniu oddaje się przede wszystkim kalkulacjom, czy pójdę z nim na spacer do lasu. Te spacery odgrywają wielką rolę w Kulturze: na nich zapadają wszystkie decyzje zarówno polityczne jak i redakcyjne. Zresztą, muszę Pani las pokazać. Trochę go traktuję jak swój własny, gdyż na szczęście nikt nie lubi w domu chodzić na spacery.

Proszę o słówko, kiedy Pani wreszcie przyjedzie. Jerzy Giedroyc [...]

Agnieszka Osiecka, Warszawa, 22 II 1958

[...] Naprawdę dobrze byłoby pomilczeć w kafejce, kiedy jest mgła. To by wiele wyjaśniło. Czy myśli Pan czasem o tym, że nie będziemy umieli ze sobą mówić, kiedy się zobaczymy? Boże, jaki Pan będzie urzędowy i jowiszowy! A ja pensjonarska i przestraszona! I będzie mi się Pan przyglądał nieufnie i sprawdzał, czy jestem taka sama. I będzie Pan porównywał mnie prawdziwą z moim cieniem. No bo przecież Pan też zna mój cień, który pewno jest lepszy ode mnie i który Pan ze mną porówna.

A zresztą nie wiem, czy będziemy sami. Więc będzie Pan słuchał mojej paplaniny z Zygmuntami. To jeszcze gorzej.

Wie Pan, popatrzyłam się któregoś dnia „surowo" w lustro i pomyślałam, że chciałabym być ładna tego dnia, kiedy Pan mnie zobaczy. A diabli wiedzą, kiedy będzie ten dzień. [...]

O Boże, niech Pan się nie gniewa. Zachowuję się nieprzyzwoicie. I w ogóle wydaje mi się, że jesteśmy jednakowo histeryczni. Bo właściwie do tego wszystkiego jestem jeszcze zła. Po prostu – zła. [...]

Jerzy Giedroyć, Maissons-Laffitte, 6 marca 1958 w nocy

Miła Agnieszko,

To bardzo zabawne uczucie pisać do Pani „per Ty": Przyjemnie i niezręcznie. [...]. Chcę, jest mi strasznie potrzeba, by Pani przyjechała. Pocieszam się, że to nie jest tylko mój egoizm, ale że i to Pani się przyda. Nie należy przedłużać zbyt długo dziecinnego pokoju, w którym Pani żyje, a ja wiem, jakie ma Pani możliwości i szanse (dużo sobie po nich obiecuję i jestem z nich trochę dumny.

[...] Kikimora zostanie. Bajki zawsze zostają. Czy Agnieszka kiedykolwiek istniała i czy będzie? Muszę zobaczyć, dotknąć ręki. [...]

Agnieszka Osiecka, Warszawa, 30 III 1958

Jerzy, co się z Panem dzieje!

Dostałam list londyński, tak nieufny, nastroszony i smutny, że właściwie to ja poczułam się nagle dorosła i „uprawniona" do nakrzyczenia na Pana. Ale bo też wypisuje Pan straszne rzeczy: pisze Pan, że ulegam „przelotnej egzaltacji" i że tylko dlatego Pan mnie obchodzi, bo mieszkam w ponurym mieście Łodzi i sama „inność" Pana robi się atrakcyjna.

Na litość boską, cóż to za samobiczowanie i ile niesprawiedliwości wobec mnie i... wobec siebie. Obchodzi mnie Pan tak samo na bardzo paradnej ulicy w kawiarni Concorde Royale , jak w najbardziej podłym zaułku Łodzi. Obchodzi mnie Pan tak samo w mojej łódzkiej celi, jak wtedy, kiedy włóczę się po snobistycznych knajpach literackich Warszawy albo kiedy siedzę na premierze w moim teatrze. Jest naokoło mnie pełno ciekawych ludzi i bzdurą jest przypuszczenie, że jakaś pustka i nuda tworzy „mit Pana". Zgadzam się na wszystko, zgadzam się nawet na to ulubione słówko „egzaltacja", którym określa Pan całe to „obchodzenie", ale proszę nie myśleć, że to jest taki mit wymyślony na pustkowiu.

Przyjazd Pana był jedynym ważnym wydarzeniem „mojego Londynu". A Londyn jest przecież atrakcyjniejszy od Łodzi... Zresztą, po co mam się uciekać do takich dziecinnych argumentów: Przecież Pan o tym wszystkim wie, przecież Pan o tym zawsze wiedział. Więc skąd nagle ta gorycz, ten brak zaufania. Niech mi Pan wierzy – to nie jest „przelotna egzaltacja". Nigdy nie powiedziałam Panu zbyt dużo ani zbyt mało – aby móc mnie o „przelotną egzaltację" podejrzewać.

Nie wiem dokładnie, kiedy stałam się Kikimorą, ale wiem, że już nią zostanę. Więc niech Pan nie boi się pisać, niech Pan nie boi się mówić. Jest mi przykro, diabelnie przykro, kiedy nie wierzy Pan w sens tego mojego pisania, kiedy jest Pan zły na siebie, że Pan pisze. Przeraża mnie myśl o „powstrzymaniu się od listów". Dlaczego?![...]

[...]**Agnieszka Osiecka, Radonice, 16 X 1962**

[...] Pięć lat temu w Londynie chciałam Panu powiedzieć „kocham Pana". Oboje wiemy, dlaczego te słowa w końcu między nami nigdy nie padły. Same nasze biografie mówią za nas.

A jeśli nawet – jak w piosence – „nic nie było między nami", to udało nam się nawiązać jakiś kontakt. Nasze słowa i nasze myśli nie były puste. Czy należy o tym kontakcie zapomnieć? Mnie się zdaje, że nie, Przeciwnie. I wydaje mi się, że ludzie zbyt często mijają się jak drewniane kukiełki, żeby nie docenić choćby jednej Prawdziwej Rozmowy.

Dlatego więc, mimo zmian w naszym życiu, mimo przykrości i nieszczęść, które mnie spotkały, mimo wszystko... nie chcę o tej sprawie zapomnieć.

Agnieszka Osiecka, Paryż, 27 X 1975

[...] Powiem tylko to, co mówiłam w domu: gdybym była Pańskim przedmiotem, Pańskim psem lub żoną, to chciałabym umrzeć z Panem. Skoro jednak tak nie jest, mówmy raczej o podsumowaniu, a nie o śmierci-kostusze.

Och, mój Boże! Strasznie to wszystko sztywno brzmi!

Muszę mówić prościej, bo za parę godzin wyjeżdżam.

Jerzy! Kocham Pana i kochałam Pana. Nie znaczy to wcale, że zawsze Pana kochałam. Pokochałam Pana jako młoda dziewczyna, kiedyś tam jako Kikimora, i kocham Pana teraz – taka, jaka jestem. W środku, gdzieś w latach sześćdziesiątych, myślałam, że ułożę sobie normalne życie z normalnym Polaczkiem w normalnym domu...

Nie wyszło.

Nie ma o czym mówić. Ja też bym nie chciała, żeby Pan mi mówił o kobietach (czy o mężczyznach).

...A dalej: Czasem czuję w Pana starych (w tych czułych) listach taki ton, że to Pan uważa, że Pan zrezygnował ze mnie (dla spokoju mego, swego, ojczyźnianego itd.), proszę wierzyć, że ja (choć słabsza) zawsze miałam wrażenie, że to ja poprowadziłam wszystko w ten sposób. (Polska, emigracja, odpowiedzialność...).

Ale Jerzy!

Teraz, kiedy mamy po sto lat (a czas dla mnie prędzej leci), czuję gdzieś w środku serca, że zupełnie inne rzeczy odpychały nas od siebie. Nie Polska, nie emigracja, nie różnica wieku, nie polityka, nie odpowiedzialność, ale nieśmiałość (obojga), zakompleksiałość (obojga), wstyd własnego ciała (obojga) i strach (obojga).

Jerzy, wstyd mi za to.

Wstyd mi, że krępowałam się zostać Twoją dziewczyną, a w końcu nie krępowałam się wyjść parę razy za mąż, mieć dzieci i tak dalej. Wychodzi na to, że nie umiem uściskać tego, kogo szanuję. Jerzy, wstyd mi za to.

Jest mi przykro, smutno i daleko od Ciebie.

Teraz dopiero rozumiem, że to nie policja, nie emigracja, kariera niczyja, nie wścibstwo Zygmunta, ale my (my sami) utrudniliśmy sobie życie.

Utrudniliśmy sobie życie, które, co tu dużo gadać – ucieka.

No, tak. Nie róbmy głupich min. Ono naprawdę ucieka i wcale się nie dziwię, że myślisz o pośmiertnym numerze. Kiedy mówimy o tym, zmieniam temat, ale kiedy myślę o tym, nie zmieniam tematu. [...].

Książka

Jerzy Giedroyć, Agnieszka Osiecka
„Listy rozgrymaszone"
Wydawnictwo: Prószyński i S-ka
Warszawa 2026

eprasa.pl c2b087826f

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

HISTORIA/ OBYCZAJE

„Cóż to za wdzięczny temat: miłość”

Alberto Angela, włoski dziennikarz i popularyzator historii, wziąwszy na tapet zagadnienie seksualności u starożytnych Rzymian, napisał o tym książkę. O tyle intrygującą, że podaną w formie krótkich, konkretnych zagadnień. Od technologii praktykowanych wówczas pocałunków, przez technikalia nocy poślubnej, aż po kwestie dewiacji i seksualności pozamałżeńskiej. Wszystko oparte o źródła starożytne.

Termy i zamtuzy

Angela ma zdolność pisania ze swadą i jednocześnie z precyzją. Odtwarza codzienne życie Rzymian, skupiając się na sferze uczuć, namiętności i relacji intymnych. One to bowiem – twierdzi – kształtowały społeczeństwo i jednostki wobec siebie. Biorąc pod uwagę znacznie szersze niż dziś pojęcie wstydu i wstydliwości, czasem czujemy się jak w dzielnicy portowej po zapadnięciu zmroku.

Podążamy zatem za Angelą przez labirynt rzymskich ulic, zaglądamy do eleganckich willi patrycjuszy i skromnych domów plebejuszy, do term i konsekwentnie do... zamtuzów, które wcale nie ukrywały przed gośćmi swoich powabów.

Szoku raczej nie ma

Autor nie unika tematów trudnych, pokazując również zachowania i praktyki, które we współczesnym świecie mogłyby być uznane za patologiczne lub przestępcze, a które w starożytności często nikogo nie szokowały. W Herkulanum podziwiamy malowidła ścienne i mozaiki, ukazujące życie intymne bez najmniejszego skrępowania.

Możemy nawet odczytać wyznania miłosne, skargi czy obsceniczne rysunki wyskrobane na ścianach przez zwykłych mieszkańców Wiecznego Miasta, co dodaje opisowi niezwykłej autentyczności.

Uwaga, mężczyźni!

Dla przykładu, na str. 148 Angela porusza zagadnienie ponadczasowe: „jaki typ męskiego ciała podoba się kobietom?”. Okazuje się, że Rzymianki lubiły mężczyzn lekko opalonych i wysportowanych, „z wydatnymi pośladkami, jędrnymi udami, szerokimi ramionami i szeroką klatką piersiową”.

Wzrost nie był ważny, bardziej fryzura i obcięte paznokcie. Rzymskie kobiety lubiły czystych mężczyzn, pachnących i w czystych, stosownie udrapowanych togach. I jeszcze jedno: golenie nóg i ramion było obowiązkowe. Nadmiernie owłosieni nie mieli wstępu do niewieścich łożnic.

Bożydar Brakoniecki

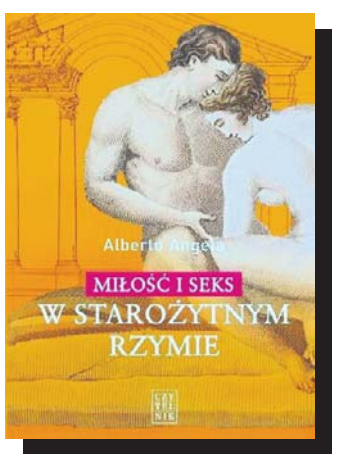

Alberto Angela, „Miłość i seks w starożytnym Rzymie”, wyd. Czytelnik, Warszawa 2026, cena 85 zł

LITERATURA/ BIOGRAFIA

Chmary demonów wokół Philipa K. Dicka

Wszyscy znamy opowieść o tym, jak sfrustrowany Philip K. Dick napisał donos do FBI, że niejaki Lem to przebiegły, zmultiplikowany, komunistyczny agent działający na szkodę rynku wydawniczego s.f. w Stanach. W biografii Dicka „Ja żyję – a wyście pomarli” pióra Emmanuela Carrère'a takich anegdot jest znacznie więcej.

Niczym literacka maszyna

Studiując tę książkę, nie sposób nie odnieść wrażenia, że żywot Dicka był drogą przez mękę. Jak nie zmaganie się z wódką i prochami, to zawiłe relacje rodzinne i skomplikowane małżeństwa (żenił się pięć razy i miał troje dzieci), wreszcie wynikająca ze schizofrenii próba samobójcza i trudny proces odwyku. Do tego dochodzi wieczna obsesja, czy świat, w którym żyjemy, jest naprawdę tym, za co go uważamy, czy może to jedynie sprytnie podtrzymywana iluzja.

Pojawia się zasadne pytanie: kiedy Dick miał czas, by napisać te wszystkie książki? Carrère przytacza opinie niektórych, że to właśnie idiosynkrazje były motorem błyskawicznego tempa jego pisania: w ciągu dwóch lat, w czasie największego uzależnienia, napisał 11 powieści i ok. 60 opowiadań. Okres uzależnienia stał się także prawdopodobnie inspiracją do napisania książki „Przez ciemne zwierciadło”, wydanej w 1977 r., pokazującej wizję świata degradowanego zarówno przez narkotyki, jak i organizacje – co wedle Carrère'a wcale nie jest kpiną – starające się zapobiegać zjawisku narkomanii.

Nie spać, pisać, pisać...

Inna kwestia: Carrère sporo miejsca poświęca dziwnym, wręcz mistycznym widzeniom Dicka. I trzeba przyznać, że opisuje te doświadczenia z godną podziwu bezstronnością, pozwalając czytelnikowi na samodzielne refleksje. Ale jak ocenić fakt, że dorosły facet zamyka się w domu ze strachu, napada na żonę jak na wroga, albo nie śpi tygodniami, bojąc się sennych wizji ?

Śmierć pisarza też była tajemnicza. Zmarł w 1982 r., po kilku atakach serca, w szpitalu w Santa Ana w Kalifornii. Jego marzenie o sławie i finansowej stabilizacji spełniło się tuż przez śmiercią. Ale ani z tego nie skorzystał, ani nie zaczerpnął nic z popularności, którą jego twórczość osiągnęła w ciągu kolejnych lat.

Ukazujący się od dziesięcioleci „Philip K. Dick Society Newsletter”, biblia fanów pisarza, odnotowuje z każdym rokiem rosnący kult postaci Dicka-wizjonera s.f. Jego powieści czytają dziś wszyscy i ciekawe, czy on, gdyby żył, nie wywęszyłby w tym jakiegoś nowego przerażającego spisku.

Lucjan Strzyga

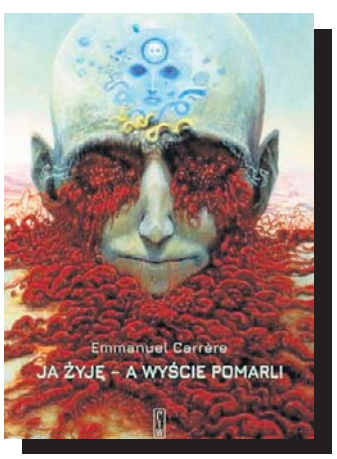

Emmanuel Carrère, „Ja żyję – a wyście pomarli”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 55 zł

HISTORIA SZTUKI

Angielczyk z łaszczówką i jego sekrety

W kolejnym tomie serii autorstwa Joanny Łenyk-Barszcz i Przemysława Barszcza, tym razem zatytułowanym „Arcydzieła sztuki i mroczne tajemnice”, znajdujemy rozdział poświęcony portretowi trumiennemu Jana Metlanta. To faktycznie dość tajemnicze dzieło, niezwykły przykład sarmackiego portretu trumiennego.

Figura z Jarosławia

Już sam bohater tego dzieła budzi sympatię. Gębaty, wąsaty, przystrzyżony w łaszczówkę, odziany w żupan. Poza tym to bohater jedynego znanego portretu trumiennego pochodzącego z Jarosławia, obecnie znajdującego się w zbiorach tamtejszego muzeum, w Kamienicy Orsettich.

Metlant był prawdopodobnie synem szkockiego imigranta i kapitana w służbie Zamoyskich. Kalwin, zapewne pod wpływem jezuitów, przeszedł na katolicyzm. Inni dodają, że żył w latach 1646-1703, był kupcem i burmistrzem Jarosławia, a także tytularnym sekretarzem Jana III Sobieskiego.

Herb? Obowiązkowo

Autora portretu, odnalezionego w kryptach jarosławskiej fary, nie znamy. Ale malować umiał. Nie tylko unieśmiertelnił Metlanta, ale też jego herb. W czerwonym polu widnieje złoty lew wspięty i koronowany – taka figura jasno odwołująca się do tradycji szkockiej heraldyki, szczególnie do królewskiego Lion Rampant, choć w formie dość nieortodoksyjnej.

Oznacza to, że nie mamy do czynienia z herbem nadanym ani potwierdzonym nobilitacją, lecz z herbem mieszczańskim, świadectwem szkockich korzeni przeniesionych do Rzeczypospolitej i zaadaptowanych do miejscowych tradycji.

Zostań waćpan Polakiem

Autor portretu miał fantazję, ale nie brakuje jej także Barszczom. Posuwają się do miłej czytelnikom sugestii, że Metlant był pierwowzorem innego Angielczyka – Hasslinga-Ketlinga z „Potopu”. To są dopiero arcydzieła i tajemnice, choć wcale nie mroczne. Zajrzyjmy na tę okoliczność do Sienkiewicza:

„Zagłoba spoglądał na niego z pewnym rozrzewnieniem.

– Waćpan tak dobrze po polsku mówisz, panie kawalerze, jak każdy z nas. Zostań Polakiem, pokochaj tę naszą ojczyznę, a zacną rzecz uczynisz i miodu ci nie zabraknie! O indygenat też żołnierzowi nie tak u nas trudno.

Na to Hassling:

– Tem bardziej, że szlachcicem jestem”.

Mariusz Grabowski

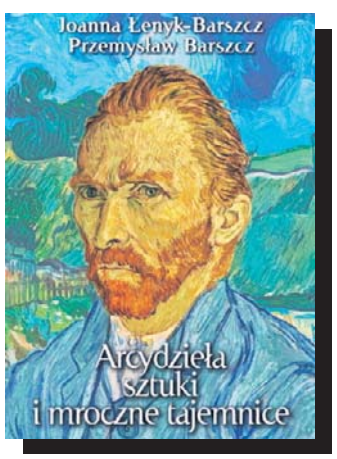

Joanna Łenyk-Barszcz, Przemysław Barszcz, „Arcydzieła sztuki i mroczne tajemnice”, wyd. ZonaZero, cena 64,90 zł

eprasa.pl c2b087826f

PLEBISCYT

Tu aż kipi! Nie w garnkach, ale od dobrej, życzliwej energii

(ka)
Choć koła gospodyń wiejskich kojarzą nam się przede wszystkim z gotowaniem i festynami, ich największą siłą są ludzie. Tacy, którzy lubią swoje towarzystwo, potrafią się wspierać i mają wiele dobrych powodów, żeby się spotkać.

Na spotkaniach kół gospodyń wiejskich bywa gwarno, wesoło. Są rozmowy, żarty, nowe pomysły, ale też zwykła przyjemność z bycia razem.

Jedni znają się od lat, inni się poznają. Są wśród nich osoby w różnym wieku, o różnych charakterach, zainteresowaniach i doświadczeniach. Ale to właśnie ta różnorodność sprawia, że nie brakuje tematów do rozmów, okazji do wspólnego śmiechu ani pomysłów, które potem rozruszają wioskę. - W plebiscycie Mistrzowie Agro 2026 biorą udział oczywiście również koła gospodyń wiejskich, nie mogło być inaczej. I dziś właśnie je przedstawiamy - mówi dziennikarka Katarzyna Adamczyk. Przygotowania do wydarzeń, pielęgnowanie lokalnych tradycji, organizowanie spotkań czy angażowanie się w życie miejscowości to ważna część działalności KGW, ale równie ważne jak efekty tych działań są relacje, które przy okazji powstają - i właśnie je chcieliśmy dziś pokazać.

Pogromcy Beretów Kania Nowa - z energią do działania i głowami pełnymi pomysłów

Choć działają od niedawna, zdążyli już pokazać, że nie brakuje im zaangażowania, kreatywności i odwagi do podejmowania nowych wyzwań.

Członkowie KGWiG Pogromcy Beretów Kania Nowa (gmina Serock) stawiają na działanie, budowanie relacji i aktywizację lokalnej społeczności. - Nie boimy się wyzwań, nie czekamy, aż ktoś zrobi coś za nas i zdecydowanie nie potrafimy siedzieć bezczynnie. Mamy własny styl, ogromny dystans do siebie i jeszcze większą energię do działania - mówi Monika Kobus. Siłą koła są ludzie o różnych charakterach, temperamentach i pomysłach. Ta różnorodność nie dzieli, lecz sprawia, że członkowie dobrze się uzupełniają. - Potrafimy śmiać się razem, czasem długo dyskutować, ale kiedy zapada decyzja – zakasujemy rękawy i robimy swoje. Staliśmy się drużyną, która może na siebie liczyć również prywatnie - podkreślają. Pogromcy Beretów Kania Nowa to koło, które trudno pomylić z jakimkolwiek innym. Jego członkowie działają od stosunkowo niedawna, a mimo to mają na swoim koncie liczne festyny, konkursy, akcje społeczne, działania pomocowe, wyjazdy i wiele innych inicjatyw. Jak mówią nie boją się wyzwań, nie czekają, aż ktoś zrobi coś za nich, i nie potrafią pozostawać bezczynni.

Najpierw jest „zrobimy tylko trochę", a później i tak pysznymi potrawami zastawiony jest cały stół

Na spotkaniach KGW Nowinianki nigdy nie brakuje śmiechu, rozmów i nowych pomysłów. Jedna myśl często rodzi kolejną, a kreatywność członkiń sprawia, że realizują coraz to nowe inicjatywy.

- Jesteśmy przyjazne, trochę szalone, zabawne, kreatywne i chyba właśnie dlatego tak dobrze się uzupełniamy. Każda z nas ma inne pomysły, umiejętności i charakter, ale razem tworzymy naprawdę zgrany zespół - podkreśla Agata Szymańska przedstawicielka KGW Nowinianki (gmina Wyszków). Dużą część ich działalności zajmuje gotowanie, bo jak mówią: gotowanie wychodzi im przepysznie. - Jesteśmy kołem mocno związanym z tradycją, ale lubimy dodawać do niej odrobinę nowoczesności. Nie boimy się nowych pomysłów i lubimy zaskakiwać - dodaje Agata Szymańska. Działalność kołajest skierowana przede wszystkim do ludzi. Chętnie współpracują z mieszkańcami i angażują się w życie lokalnej społeczności.

Mistrzowie AGRO

LIDERZY POSZCZEGÓLNYCH KATEGORII PLEBISCYTU

Więcej na: polskanews.pl/agro

SOŁTYS ROKU
1. **Jakub Serafimowicz,** Sołectwo Zaździerz, gmina Łąck
2. **Janusz Tarnowski,** Sołectwo Sułkowo Polne, gmina Strzegowo
3. **Wioletta Skalska,** Sołectwo Pawłów, gmina Chlewiska
4. **Artur Grądek,** Sołectwo Granice, gmina Teresin
5. **Marek Ziółek,** Sołectwo Mikówka, gmina Białobrzegi

ROLNIK ROKU
1. **Krzysztof Trawiński,** Jarnuty
2. **Dariusz Zembrzuski,** Załogi-Jędrzejki
3. **Karol Grudniewski,** Kolonia Seredzice
4. **Agnieszka Wiśniewska,** Nowa Pułapina
5. **Elżbieta Pomorska,** Dziurków

LIDERKA/LIDER SPOŁECZNOŚCI ROKU
1. **Katarzyna Szymaniuk,** Stare Szpaki
2. **Małgorzata Przybysz,** Kania Nowa
3. **Sebastian Bartosz Lipiński,** Brzóze, Sołectwo Brzóze
4. **Julia Nicer,** Stromiec, Urząd Gminy
5. **Witold Bykowski,** Janików

LEŚNICZY ROKU
1. **Wojciech Bobek,** Leśnictwo Jastrząbka
2. **Sabina Godonczuk,** Leśnictwo Fidest
3. **Bartłomiej Szymanek,** Nadleśnictwo Radom

WYPOCZYNEK BLISKO NATURY ROKU
1. **Zielona Farma - Mordy,** Mordy
2. **Agroturystyka Zagroda Pod Lipami,** Zglenice-Budy
3. **Ranczo Biała Chata,** Pacew
4. **Ranczowisko,** Cekanowo
5. **Farma Ciepielewo,** Ciepielewo

SOŁECTWO ROKU
1. **Sołectwo Radonie,** gmina Grodzisk Mazowiecki
2. **Sołectwo Ciepielewo,** gmina Szelków
3. **Sołectwo Słup Drugi,** gmina Borowie
4. **Sołectwo Słupno Osiedle,** gmina Radzymin
5. **Sołectwo Jastrząbka,** gmina Baranowo

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH ROKU
1. **KGW Nowinianki,** gmina Wyszków
2. **KGW Kędzierówka-Jeziórko-Krupia Wolka,** gmina Prażmów
3. **KGW Młode Rogozino,** gmina Radzanowo
4. **KGW Popielów,** gmina Liw
5. **KGW Łączymy Pokolenia w Policznie,** gmina Policzna

Patroni honorowi:
Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Stefan Krajewski
ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa
Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Partnerzy plebiscytu:
Targi Kielce exhibition & congress centre
agrotech

Patronat regionalny:
MODR WARSZAWA

eprasa.pl c2b087826f

WARSZAWA

Na Gocławiu powstanie dzielnicowe obserwatorium astronomiczne

Mateusz Łuba

Otwarcie pierwszego dzielnicowego obserwatorium astronomicznego w Warszawie zbliża się wielkimi krokami. Właśnie trwa montaż i kalibracji specjalistycznego sprzętu.

Jak poinformowali przedstawiciele Terminalu Kultury Gocław, mieszczącego się przy ul. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 24, uroczyste otwarcie pierwszego dzielnicowego obserwatorium astronomicznego w Warszawie zbliża się w szybkim tempie.

– Pierwsze dzielnicowe Obserwatorium Astronomiczne w Warszawie na ostatniej prostej. Montujemy, kalibrujemy i uczymy się. Trochę to jeszcze potrwa, ale niedługo zaprosimy na uroczyste otwarcie – przekazali w komunikacie.

W czerwcu na dachu Terminalu Kultury Gocław umieszczono białą kopułę astronomiczną. W kolejnych etapach inwestycji miało pojawić się wyposażenie. I tak też się stało. Jak wynika z powyższego komunikatu, specjalistyczny sprzęt jest obecnie montowany i kalibrowany. Prawdopodobnie po zakończeniu tych prac poznamy termin oficjalnego otwarcia obserwatorium.

Nowa przestrzeń edukacyjna ma służyć przede wszystkim najmłodszym mieszkańcom Warszawy. W planach są obserwacje nieba, warsztaty astronomiczne oraz spotkania popularyzujące naukę. Praga-Południe będzie także pierwszą stołeczną dzielnicą, w której samorządowa instytucja kultury będzie posiadało własne obserwatorium astronomiczne.

Przebudowa na Bielanach. Cztery warianty

Drogowcy przekonują, że ul. Żeromskiego wymaga przebudowy, która poprawi bezpieczeństwo i komfort poruszania się. Inwestycja będzie realizowana etapami, a jej podstawą stanie się koncepcja obejmująca cztery warianty

Mateusz Łuba

Stefana Żeromskiego to jedna z najbardziej znanych ulic Bielan i ważny ciąg komunikacyjny tej części miasta. Korzystają z niej nie tylko kierowcy, ale także piesi i rowerzyści. Zdaniem drogowców obecny układ ulicy nie odpowiada potrzebom wszystkich uczestników ruchu.

– Żeromskiego trudno też nazwać ulicą atrakcyjną. W oczy rzucają się stare chodniki z kostki czy zabetonowana przestrzeń – czytamy w komunikacie ZDM.

Ulica wymaga zmian nie tylko ze względów estetycznych, ale także ze względu na bezpieczeństwo. Jest szeroka, długa i prosta, co może zachęcać kierowców do szybszej jazdy.

Problemem są również niektóre przejścia dla pieszych, które nie zapewniają odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa. Chodzi m.in. o zebry na wysokości ulic Płatniczej i Lisowskiej (obie zostały ocenione na 2 w skali 0-5 w audycie bezpieczeństwa). Każde z tych przejść prowadzi przez cztery pasy ruchu – po dwa w każdym kierunku. Drogowcy podkreślają, że tego typu przejścia powinny być wyposażone w sygnalizację świetlną.

Przebudowa ma to zmienić. Wiosną warszawscy radni przyznali środki na inwestycję, a w październiku ZDM ogłosił przetarg na prace przygotowawcze.

Oferty w przetargu ogłoszonym przez ZDM można składać do 20 października. Wybrany wykonawca będzie musiał opracować wielowariantową koncepcję przebudowy ulicy. Następnie będzie miał dziewięć miesięcy na realizację zadania.

Koncepcja przebudowy ma uwzględniać: poprawę bezpieczeństwa wszystkich uczestników ruchu, ze szczególnym uwzględnieniem pieszych; usprawnienie obsługi komunikacyjnej; podniesienie jakości przestrzeni publicznej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przebudowa ul. Żeromskiego obejmie odcinek od ronda Haliny Szwarc (bez samego ronda) do Al. Reymonta

Przebudowa ul. Żeromskiego obejmie odcinek od ronda Haliny Szwarc (bez samego ronda) do Al. Władysława Reymonta (bez skrzyżowania). Prace będą prowadzone również na chodniku i DDR po wschodniej stronie ul. Reymonta, na odcinku w kierunku ul. Władysława Broniewskiego. Ze względu na skalę przedsięwzięcia inwestycja zostanie podzielona na trzy etapy: koncepcyjny, projektowy i wykonawczy. Szczegółowy zakres zmian będzie znany po przygotowaniu projektu przebudowy.

Efektem prac mają być cztery alternatywne warianty inwestycji. Dodatkowo możliwe będzie opracowanie piątego, stanowiącego połączenie rozwiązań z pozostałych propozycji.

Jeden z wariantów mówi o zwężenie jezdni. Zakłada m.in. ograniczenie liczby pasów ruchu do jednego w każdym kierunku, z dodatkowymi pasami do skrętu na skrzyżowaniach. Pozwoliłoby to wygospodarować więcej miejsca na szerokie chodniki, dwukierunkowe drogi dla rowerów, miejsca postojowe oraz pasy wysokiej zieleni.

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

BUDOWLANA

ZĄB, ul. Potoczki, 1ha, widok na Tatry 781 776 612

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Jesienne pobyty lecznicze i wypoczynkowe w promocyjnych cenach.
Tel: 41/378-19-48, 696958319
www.sanato.com.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0011598158

OGŁOSZENIE

Burmistrza Miasta Łańcuta o zmianie trzeciego przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości zabudowanej stanowiącej własność Gminy Miasta Łańcuta, a oznaczonej jako działka nr 3824/1 o pow. 0.0491 ha, objętej księgą wieczystą nr RZ1A/00012785/7 położonej w Łańcucie przy ul. Plac Sobieskiego.

Burmistrz Miasta Łańcuta

informuję, że uległ zmianie:

- termin wniesienia wadium najpóźniej do dnia **2 listopada 2026 r.** *(zamiast do dnia 9 października 2026 r.)* na prawidłowy rachunek bankowy Urzędu Miasta Łańcuta, prowadzony w PKO Bank Polski S.A. **nr 62 1020 4391 0000 6502 0195 3918** *(zamiast nr 62 1020 4391 0000 6802 0195 3918).*
- termin przeprowadzenia **przetargu w dniu 6 listopada 2026 r. o godzinie 10.00** *(zamiast w dniu 13 października 2026 r. o godzinie 10.00)* **w sali nr 26 (I piętro) Urzędu Miasta Łańcuta, Plac Sobieskiego 18**.

na sprzedaż nieruchomości zabudowanej stanowiącej własność Gminy Miasta Łańcuta, a oznaczonej jako działka nr 3824/1 o pow. 0.0491 ha, objętej księgą wieczystą nr RZ1A/00012785/7 położonej w Łańcucie przy ul. Plac Sobieskiego.

Treść całego ogłoszenia na stronie internetowej w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miasta Łańcuta (zakładka nieruchomości) – https://lancut.biuletyn.net/?bip=2&cid=1151&id=7857

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl c2b087826f

PIŁKA NOŻNA

Przy reprezentacji trzeba się uzbroić w cierpliwość

Tomasz Sokołowski z Legią Warszawa zdobył mistrzostwo Polski, Puchar Polski, Superpuchar i Puchar Ligi, zagrał też w Lidze Mistrzów. 12-krotny reprezentant kraju jest teraz trenerem personalnym i komentuje wydarzenia sportowe w radiu

Jaromir Kruk

Jakie wnioski można wyciągnąć po czterech spotkaniach kadry Polski Jana Urbana w Lidze Narodów?

Po odejściu kluczowych piłkarzy, takich jak Kamil Glik, Wojciech Szczęsny, Kamil Grosicki czy wcześniej Łukasz Piszczek i Kuba Błaszczykowski, na finiszu kariery Roberta Lewandowskiego, szukamy nowych piłkarzy, którzy będą w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność za losy kadry. To jest taki okres, wyniki są na pewno poniżej oczekiwań, ale składa się na to szereg czynników. Nie wszyscy zawodnicy, z jakimi wiąże się duże oczekiwania, znajdują się w wysokiej formie. Nie odkryję Ameryki, jeśli powiem, że musimy się uzbroić w cierpliwość.

Nie szukamy kogoś, kogo nie ma?

Trzeba się przekonać po kilku spotkaniach, kto ile może dać kadrze, a kto do niej nie pasuje. Proszę spojrzeć na Sebastiana Szymańskiego – bardzo dobry zawodnik, ale nie zawsze gra na swoim najwyższym pułapie, co nie jest tylko zależne od niego. Trener Urban próbuje poukładać klocki i też da się zauważyć pozytywy. Kreujemy sporo sytuacji, niestety... nieskuteczność. W barażu o mundial przegraliśmy ze Szwedami 2:3 i ja nie mogę sięgnąć pamięcią do spotkania, gdy straciliśmy tyle goli i udało się go wygrać. Nie wyszedł nam też mecz z tym samym rywalem w Lidze Narodów – ponownie łatwo dawaliśmy sobie wbijać bramki.

FOT. PIOTR SMOLIŃSKI/POLSKA PRESSE

W reprezentacji Polski w latach 1994-1998 Tomasz Sokołowski rozegrał 12 meczów i strzelił jednego gola

Selekcjoner powinien podziękować Janowi Bednarkowi, z którego winy pada sporo goli dla przeciwników?

Duet Bednarek – Kiwior gra w FC Porto, mocnym klubie, a jak ktoś w piłce popełnia błędy, to inny musi je próbować naprawiać. Najłatwiej zrezygnować z zawodnika, a nas na to nie stać. Drużyna piłkarska jest niczym naczynia połączone, a jak już wspominałem, my cały czas szukamy po odejściu ważnych piłkarzy. Nie idzie nam w Lidze Narodów, ale ja wierzę, że w kadrze wreszcie zaskoczy, oby jak najszybciej. Wróćmy do kwestii nieskuteczności, bo przez to też przegrywaliśmy, nie tylko wskutek błędów obrońców.

Grałeś w reprezentacji Polski. Czy czegoś dziś zazdrościsz obecnym kadrowiczom?

To były inne czasy i trudno je porównywać. Nam zawsze starano się zapewniać jak najlepsze warunki do przygotowań do spotkań, trenowaliśmy w różnych miejscach na dobrych boiskach, choćby w Świerklańcu. Wtedy nie mieliśmy ośrodka z prawdziwego zdarzenia dla reprezentacji, teraz też nie mamy, ale są plany, między innymi w Karczewie pod Warszawą – to superlokalizacja. To kwestia czasu.

Czułeś – występując w reprezentacji Polski – większą presję?

Inaczej się gra w barwach narodowych niż w klubie. Wiesz, że liczy na ciebie wiele milionów ludzi, że mają nadzieje, oczekiwania. Presja zawsze była, w moim przypadku inna, bo przebiłem się do reprezentacji jako zawodnik z polskiego klubu, a dominowali piłkarze z lig zagranicznych. Trzeba było na każdym treningu pokazywać swoją wartość, udowadniać przydatność – szło mi chyba nieźle. Nie było mi dane awansować z kolegami do finałów wielkiej imprezy, ale swoją przygodę z drużyną narodową do dziś traktuje niczym nobilitację. Większego zaszczytu, prestiżu dla sportowca nie ma.

Teraz trudniej przebić się z ekstraklasy do reprezentacji Polski?

Kluby zagraniczne sprowadzają teraz z ekstraklasy zawodników 19-letnich, 20-letnich, nawet młodszych, gdy są jeszcze stosunkowo tani. Dla bogatych kontrahentów to nie jest tak wielkie ryzyko, a można jeszcze zarobić. W Górniku był Wiktor Nowak, w Jagiellonii Oskar Pietuszewski, Bartosz Mazurek, nie da się wręcz nie zauważyć tak zdolnych młodych piłkarzy. W młodzieżówce też gra wielu fajnych chłopaków, jedni jeszcze są w ekstraklasie, inni już w ligach zagranicznych. Często polskie kluby środki pozyskane ze sprzedaży rodzimych talentów inwestują w transfery coraz lepszych graczy zagranicznych – tak to funkcjonuje. Ekstraklasa się rozwija, widać to po europejskich pucharach, ale nie zawsze musi się to przekładać na powołania do reprezentacji Polski.

©℗

PIŁKA NOŻNA

Oskar Pietuszewski nowym rekordzistą w Lidze Mistrzów

Jakub Jabłoński

Oskar Pietuszewski dopisał sobie kolejne cenne osiągnięcie. Młody skrzydłowy FC Porto i reprezentacji Polski we wczorajszym meczu 2. kolejki z Realem Betis Sewilla stał się najmłodszym Polakiem, który zadebiutował w Lidze Mistrzów.

Czy jest coś, czego już teraz może pozazdrościć Robert Lewandowski Oskarowi Pietuszewskiemu? Kapitan reprezentacji Polski w wieku, w którym skrzydłowy FC Porto zadebiutował w Lidze Mistrzów, występował w drugoligowym Zniczu Pruszków, a następnie przeniósł się do Lecha Poznań, gdzie stawiał pierwsze kroki w polskiej ekstraklasie.

Pietuszewski zagrał w tych rozgrywkach, mając 18 lat, 4 miesiące i 24 dni. Polak wszedł na boisko w 59. minucie, kiedy jego zespół remisował. Ostatecznie mistrzowie Portugalii musieli wrócić ze stolicy Andaluzji na tarczy, mimo że chwilę po wejściu polskiego nastolatka objęli prowadzenie. Szybko okazało się ono ulotne, a o zwycięstwie Betisu na Estadio de la Cartuja przesądzili Cucho Hernandez oraz Isco, który ustalił wynik z rzutu karnego na chwilę przed końcem regulaminowego czasu gry.

Sam Oskar może mieć minimalne powody do zadowolenia. Został najmłodszym polskim debiutantem w Lidze Mistrzów, bijąc tym samym osiągnięcie Szymona Czyża. Obecnie kontuzjowany piłkarz Widzewa Łódź, który jeszcze kilka lat temu występował we włoskim Lazio i któremu wróżono wielką karierę, zadebiutował w tych rozgrywkach w wieku 19 lat, 3 miesięcy i 20 dni.

Trzecim najmłodszym Polakiem jest piłkarz Slavii Praga Oskar Kubiak, który wszedł z ławki w przegranym meczu z Sabahem Baku (0:2) i zaliczył swój drugi występ w tych rozgrywkach. Razem z nim po przerwie na boisku pojawił się jego rodak z czeskiej ekipy, 22-letni Wiktor Nowak. W barwach mistrza Azerbejdżanu pełne 90 minut na lewej obronie rozegrał Tymoteusz Puchacz. Wtorkowy wieczór źle wspominali Piotr Zieliński, którego Inter Mediolan przegrał z Club Brugge, oraz Michał Skóraś, który zameldował się na boisku w drugiej połowie meczu RC Lens ze Sportingiem Lizbona i musiał uznać wyższość rywali. Dzień później, poza Pietuszewskim, na środku obrony FC Porto zagrał Jakub Kiwior, a najwięcej powodów do zadowolenia miał Matty Cash. Jego Aston Villa wbiła aż sześć bramek Fenerbahce Stambuł.

eprasa.pl c2b087826f

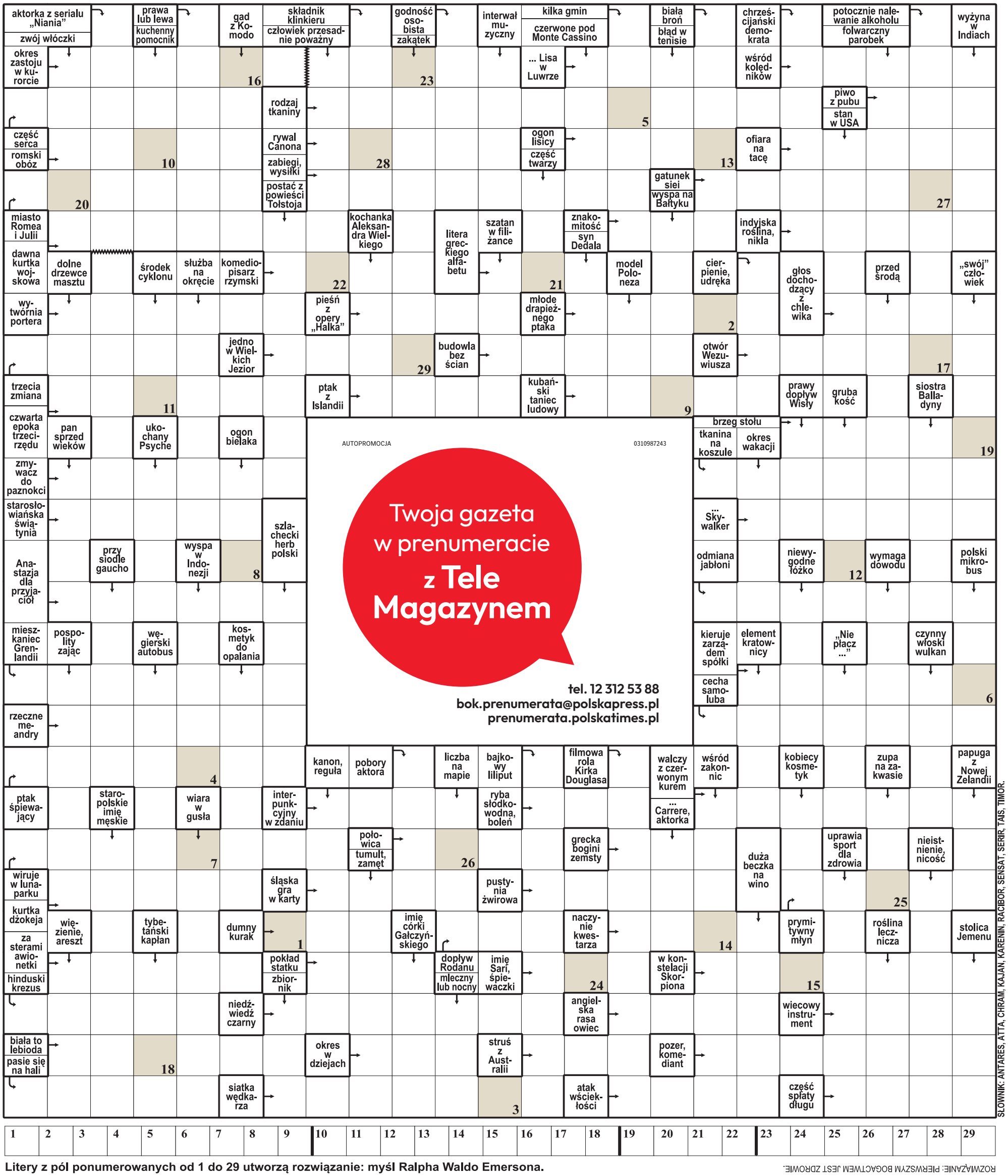

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: myśl Ralpha Waldo Emersona.

ROZWIĄZANIE: PIERWSZYM BOGACTWEM JEST ZDROWIE.

eprasa.pl c2b087826f